Rocznik XV Nr 12 1946



GŁOS KARMELU



Karm. Bosy

Sens Betlejemu

Rocznice wielkich wydarzeń, jakie obchodzą narody, mają na celu przypomnienie pewnych faktów i chwil decydujących o losach państwa czy społeczeństwa — aby o nich potomność nie zapomniała. Rocznice wielkich zwycięstw i czynów bohaterskich synów jakiejś ziemi czy narodu — mają przypominać późniejszym pokoleniom ideał bohaterstwa i waleczności ich przodków. Przypominanie czynów społecznych, będących podwaliną dobrobytu i rozwoju ekonomicznego jakiegoś państwa ma zachęcać do podtrzymania tych dzieł i do ich pełnego rozwoju.

Kościół św., to największe, wszechświatowe państwo ducha, rok rocznie przypomina swoim wyznawcom święte misteria, wielkie tajemnice z życia Boskiego swego Założyciela. Sens tych przypomnień jest bardzo głęboki. Kościół nie jest oderwany od osoby Chrystusa, ale jest z Nim najściślej zjednoczony, jak członki ciała z głową. Chrystus nie jest postacią dalekiej i mrocznej przeszłości — ale jest zawsze żywy, zawsze bliski, „Jezus Chrystus teraz i zawsze i na wieki". Jeśli więc chcemy być prawdziwymi dziećmi Kościoła, prawdziwymi wyznawcami nauki Chrystusowej, musimy nie tylko pamiętać o tajemnicach życia Jezusa Chrystusa, ale żyć wielką Jego rzeczywistością.

Rok rocznie obchodzimy pamiątkę Narodzenia Chrystusa Pana. Przypominamy sobie wtedy dzieło nieskończonego miłosierdzia Boga, że dla naszego zbawienia przyszedł na ten świat w postaci ludzkiej, jako Zbawiciel ludzkości. Narodzenie Jego stało się nową erą dziejów świata, bo przyniosło nowy światopogląd, nową naukę i nową przedziwną ekonomię uświęcenia człowieka.

Sentyment i nastrój.

Ludzie boją się prawdy. Boją się jej tym więcej, im większe ona pociąga za sobą konsekwencje. Widzimy to w naszym ustosunkowaniu się do Świąt Bożego Narodzenia. Chcąc ukryć nagą prawdę, idącą do nas z zimnego kamiennego żłobu w grocie betlejemskiej, w którym spo-

czał Bóg-Człowiek — stajenkę betlejemską i misteria w niej skryte przysłoniliśmy barwną zasłoną sentymentalizmu, uczuciowości i nastroju. Boże Narodzenie w naszej wyobraźni i w naszych przeżyciach to cudowna poezja, to jakieś oderwanie się od życia — niemal kraina baśni. Cicha stajenka w betlejemskim polu, płonąca złota gwiazda, roje aniołów śpiewających głosami radosnymi, gromady poczciwych pastuszków, ptactwo i rozmaite zwierzęta — oto skojarzenia myślowe z tajemnicą Bożego Narodzenia. Obok tego barwnie przystrojone choinki, z płonącymi świeczkami, biały opłatek, kartki z życzeniami, podarunki świąteczne. Wszystko to jest piękne i dobre, bo przecież i stronie uczuciowej człowieka coś dać trzeba. Ale błąd leży w tym, że te zewnętrzne objawy uroczości Bożenarodzeniowych stały się, jeśli nie dla wszystkich, to dla wielu, istotą Święta. Sentyment, uczucie i nastrój przysłonił istotną prawdę i treść tajemnicy Bożego Narodzenia. I dlatego też te święta tak głębokie swymi misteriami, nie wnosiły jednak w duszę katolików i nie wnoszą po dziś dzień tego zastosowania, jakie z nich koniecznie trzeba wyprowadzić.

Boże Narodzenie zwłaszcza dzisiaj, wobec ogromnych przełomów politycznych i społecznych, nie może pozostać przeżyciem tylko uczuciowym. Jego prawda, jego treść musi wniknąć w nasz rozum, w nasze czyny, w nasz światopogląd. Jeżeli taki św. Franciszek z Asyżu stawał się dzieckiem wobec żłóbka betlejemskiego, jeśli sławny Mistyk, św. Jan od Krzyża tańczył z figurką Dzieciątka Jezus, to nie były to objawy chwilowego podniecenia i zapału, ale szły one następnie w najskrajniejszym zastosowaniu w ich życie. Biedaczyna z Asyżu był tak ubogi w swoim życiu, jak to Dzieciątko Betlejemskie, ukochał ludzi z takim poświęceniem, jak On; a św. Jan od Krzyża tak umiłował cierpienie, krzyż i wzgardę, jak Jego Boski Zbawiciel. Taka była logiczna konsekwencja ich nabożeństwa do tajemnicy Wcielenia Chrystusa Pana.

Człowiek sam sobie nie wystarczy.

Jakież to prawdy wyłaniają się spod tych wszystkich osłon uczuciowo - sentymentalnych, jakimi przysłoniliśmy wielkie misterium betlejemskie?

Jedna z naszych kolęd zaczyna się od tych słów:

Z nieba wysokiego Bóg zstąpił na ziemię,
Ażeby z otchłani wywiódł ludzkie plemię.

Bóg więc zstąpił z nieba, aby podnieść człowieka. C z ł o w i e k s a m s o b i e n i e w y s t a r c z y. — To jest bodaj najaktualniejsza prawda i nauka nowonarodzonego Dzieciątka Jezus. Tę prawdę musimy sobie dzisiaj przypomnieć. Człowiek bowiem współczesny nie tylko zapomniał o niej, ale twierdzi wprost przeciwnie, że on sam sobie wystarczy. Wspaniałe wynalazki i odkrycia geniuszu ludzkiego, zdumiewający rozwój techniki i nauk fizykalno - chemicznych, opanowanie przestworzy i głębin oceanów, wykorzystanie ukrytych sił przyrody, wydarcie jej zazdrośnie strzeżonych dotąd tajemnic — olśniły człowieka,

zawróciły mu głowę. Materialistyczny pogląd na świat, czyni z człowieka suwerennego i niezależnego pana, a tym samym staje się negacją Boga.

Człowiek jednak sam sobie nie wystarczy. Do jego uszczęśliwienia, a zwłaszcza do jego zbawienia potrzeba Boga. Tego nas uczy tajemnica Bożego Narodzenia, tego nas uczą dawne dzieje ludzkości i współczesna historia. Starożytna cywilizacja była wysoka, wprost imponująca. Kwitnęły sztuki, rozprawiano o filozofii, oddawano się poezji, wznoszono wspaniałe arcydzieła architektury, wgłębiano się w astronomię — a obok tego czczono ludzi jako bogów, a nawet zwierzęta, jak skarabeusz czy wół, doznawały czci boskiej. Również poziom moralności bynajmniej nie odpowiadał poziomowi kultury. Niewolnictwo, sponiewieranie i ucisk kobiety, tyrania i nierówność społeczna, nie harmonizowały z pięknymi hasłami, jakie głosiła starożytna filozofia. Tego samego doświadczyliśmy dzisiaj. Przekonaliśmy się w czasie ostatniej wojny, że naród o wysokiej kulturze może być najdzikszym, krwiożerczym zwierzęciem. Ponieważ zaś historia jest nauczycielką życia, możemy twierdzić, że i na przyszłość tak będzie. Człowiek sam sobie nie wystarczy. Do osiągnięcia bowiem pełni człowieczeństwa potrzeba nie tylko ludzkich ale i Boskich czynników.

Maleńkie Dzieciątko z Betlejemu przypomina nam dogmat grzechu i dogmat łaski. Przed Nim nie możemy się cofnąć, bo skutki tych prawd tkwią w naszej istocie. Jezus Chrystus musi być dla nas postacią nie tylko historyczną, ale rzeczywistością każdego naszego dnia. Trzeba uznać Jego naukę, i więcej, trzeba nią żyć!

Nasze zaniedbania.

„Katolicyzm o tyle ponosi klęski, o ile da się wyprzedzić" — powiedział wielki Papież Pius XI. Sens tych słów odczuwamy dzisiaj w całej rozciągłości. Zaniedbania katolików na przestrzeni dawnych stuleci, a zwłaszcza w dobie ostatniej, zrodziły smutne następstwa. Przypominanie o grzechach przeszłości nie jest rzeczą miłą, wydawać się może nawet pesymizmem i małodusznością. Żeby jednak uniknąć nowych błędów, trzeba przyjrzeć się starym i wyciągnąć z nich wnioski.

Co zrobiliśmy dla Chrystusa do tego czasu?

Z 2000 milionów ludzi na ziemi, przeważającą część, bo ponad 1400 milionów stanowią dziś jeszcze poganie i mahometanie. Ilość chrześcijan wynosi tylko 600 mil., trzecią część ogólnej liczby. Połowę chrześcijan stanowią schizmatycy i heretycy. Katolików mamy okrągłe 400 mil., a więc 5. część ludzkości. Z tych 400 mil. ani połowa nie praktykuje. Wielkie miasta są w wielkiej części pogańskie, najwyżej 50%, częściej 30, czy 20% stanowią katolicy praktykujący. Neopoganizm występuje coraz śmielej i odważniej. Upadek obyczajów wzrasta zastraszająco, w wielu wypadkach planowo się go popiera. Propaganda niedowiarstwa pracuje ze wszystkich sił, liczba odstępców wzrasta. Jak dziś wygląda Europa, która w średniowieczu była zupełnie katolicka? Europa ta

słabo wierząca i wyznaniowo rozbita, jest — jak mówią misjonarze — największą przeszkodą w szerzeniu się chrześcijaństwa w krajach misyjnych.

To samo odnosi się w większej jeszcze mierze do Ameryki. Ameryka północna w 70% jest zupełnie niewierząca, czysto materialistyczna. Katolicyzm południowej Ameryki jest niesłychanie wątły. Gdy spojrzeć na mapę wyznaniową świata, chciałoby się zapłakać. Jak dalecy jesteśmy od zrealizowania królestwa Chrystusowego na ziemi! Jak smutne jest to, że po 2.000 lat, od zbawienia świata, jeszcze tak wielka część ludzkości nie zna prawdziwego Boga, ani Tego, Którego nam Ojciec zesłał — Jezusa Chrystusa.

„Stajemy się świadkami zdarzenia, którego dotąd w dziejach ludzkości jeszcze nie było, że bezbożnicy porwani szałem szatańskim, podnoszą haniebnie swe sztandary przeciw Bogu na całym świecie" (Pius XI). A my, katolicy, co uczyniliśmy i co czynimy wobec tych wielkich problemów? Czy nie zasypiamy sprawy Bożej? Godne to jest uwagi, że wówczas, gdy Chrystus walczył z obawą przed śmiercią i wylewał krwawy pot, uczniowie jego mogli spać, a wrogowie nie spali, lecz gorliwie gotowali się do pojmania Jezusa. „Szymonie śpisz? Oto Judasz nie śpi, lecz spieszy, by mnie zdradzić". Tym Szymonem my jesteśmy, niedbali uczniowie Chrystusa. Czy musi się tak dziać, że synowie ciemności mędrsi są i gorliwsi od synów światłości? Czy nie moglibyśmy dla wzniosłego celu zużyć tyle gorliwości i energii, co przeciwnicy nasi dla celów złych? Czy spełniliśmy zadanie nasze i obowiązek w kwestii socjalnej? Co uczyniliśmy, by zwalczać krwiopilczy kapitalizm? Dlatego odpadły niezliczone miliony proletariuszy od Kościoła i od Boga. Papieże zabierali głos: Leon XIII, Pius XI... Wskazywali na potrzebę poświęcenia dobra osobistego dla dobra ogólnego. Głos ten za słabe jednak budził echo w świecie katolickim. Co czynimy dzisiaj dla zwalczenia nienawiści żrącej serca ludzkie, dla zmniejszenia nędzy i nieszczęśliwej doli sierot i kalek? Musimy wniknąć w siebie i rozpatrzeć, czy jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami.

Królestwo ducha.

Gdy obejmujemy całokształt sprawy katolickiej, mimo woli nasuwa się pytanie: co nam czynić należy? Wobec ogromu zadań — od czego trzeba zaczynać? Przypomnijmy sobie, że królestwo Chrystusowe to królestwo ducha, bo według określenia samego Chrystusa: „nie jest ono z tego świata". W tym królestwie duchowym najistotniejszym czynnikiem jest łaska i świętość. Żeby być prawdziwym wyznawcą Chrystusowym, trzeba strzec świętości swojej duszy i pomnażać w sobie łaskę. To, co nazywamy życiem wewnętrznym, to nie jest frazes, to jest istota. Czynnikiem nadprzyrodzonym, łaską i świętością rozwija się i wzrasta królestwo Boże na ziemi. Jeśli w duszy będzie panował duch odwrócenia się od Boga — dusza taka nie tylko nie będzie walczyła o wzrost Królestwa Bożego, ale będzie tamowała jego rozwój. Bez świętości osobistej dzieci Kościoła św., najbardziej rzutka aktywność katolicka nic nie sprawi. Będzie bowiem odłączona od źró-

deł, które zasilają życiem i mocą wielki organizm Kościoła powszechnego i poszczególne dusze jego wyznawców. Trzeba więc powrócić do starochrześcijańskiego obyczaju „codziennego łamania chleba" — czyli do jaknajczęstszego, choćby codziennego zasilania swej duszy pokarmem łaski i modlitwy. Praca na wewnątrz staje się dziś najbardziej piekącą sprawą. I niech nikt nie mówi, że jest to może słabość, albo tchórzliwe zamykanie się w sobie. To będzie nasza moc, nasze zmartwychwstanie wewnętrzne. Grzech nie pozostaje tylko złem osobistym — ma on dalekie konsekwencje w życiu zbiorowym. Im więcej będzie złego, które się składa z poszczególnych grzechów, tym więcej będziemy stawali w poprzek myśli Bożej i zmiłowań Bożych względem nas. Straszliwe kataklizmy, jakie świat przeżywał i jakie myśmy przeżyli, tłumaczy się nie tylko nadużyciem własnym przez jednych dla gnębienia drugich ludzi, nie tylko zanikiem prawa i poczucia sprawiedliwości, ale i karzącą ręką sprawiedliwości Boga, który zło musi pomścić. Chcąc więc przyczynić się do zapanowania pokoju, ładu i sprawiedliwości, trzeba czynić wydatny wkład w Dobro, przez zachowanie prawa Bożego, przez świętość i cnotę, a tym samym będzie to walka najskuteczniejsza ze złem.

Przykazanie miłości bliźniego.

Żłóbek betlejemski to najwymowniejsza katedra miłości i poświęcenia. Maleńkie Dziecię Jezus drżące na sianku w żłobie — to przecież Bóg nieskończony i niepojęty. Co było przyczyną tej przedziwnej zamiany tronu odwiecznej światłości na kamienny żłób w opuszczonej stajni? Co skłoniło najwyższą i nieogarnioną istotę Boga, że przyoblekła się w ciało człowiecze? Że, jak mówi kolęda:

„Moc struchlała, Pan niebiosów obnażony,
Ogień skrzepł, granice objęły Nieskończonego?"

Nieskończona miłość Boga ku ludziom.

Jeżeli Pan Jezus później, odchodząc z tej ziemi, da nam ten wielki nakaz: „Przykazanie moje daję wam, abyście się społecznie miłowali" — to najpierw przez całe swoje życie będzie dawał nam dowody tej miłości ku nam, synom ludzkim. Wobec dzisiejszej nienawiści rozpalonej w całym świecie, powrót do miłości bliźniego jest konieczny. Bo jakże nas poznają, żeśmy uczniami Chrystusa, kiedy nie będziemy mieć miłości bliźniego, która jest charakterystyczną cechą Jego nauki i Jego Kościoła. Niestety, musimy przyznać, że u wielu z nas poszło w zapomnienie to, co Pismo św. mówi o Łazarzu i bogaczu, o bogactwie i o czynnej miłości bliźniego. Nie ulega wątpliwości, że przeżywamy w dobie powojennej wielkie trudności materialne. Niemniej jednak widzimy, jak zawrotne sumy wydają ludzie na rzeczy nie tylko zbyteczne, ale grzeszne: pijaństwo, zabawy, życie ponad stan. Cóż dziwnego, że nie stanie wtedy grosza dla sierot biednych i kalek. Jest to policzkiem dla nas katolików, że wolnomyśliciele i innowiercy w wielu sprawach są od nas ofiarniejsi.

Uchylmy więc zasłonę sentymentalizmu i uczciwości znad żłóbka Jezusowego, a patrząc jak On dla nas stał się ubogim — rozważmy

dobrze Jego błogosławieństwo o ubogich duchem, i Jego miłość dla nas potwierdzoną całkowitym zaparciem siebie i ofiarą.

Więcej odwagi.

Z obfitości serca mówią usta — mówi Księga Mądrości. Z przeżyć wewnętrznych rodzi się czyn zewnętrzny. W zjednoczeniu z Bogiem, ożywieni Jego łaską i miłością, staniemy się apostołami Jego prawa. Z głębokiej wiary i umiłowania prawa Bożego zrodzi się szerokosiężny czyn katolicki. Organizowanie akcji katolickiej na innych przesłankach będzie tylko utopią i nie doprowadzi do niczego. Żeby bowiem dać innym życie, trzeba je najpierw mieć w sobie. Trup trupa nie wskrzesi ani nie ożywi. Siłą dynamiczną wszelkiej działalności katolickiej pozostanie zawsze świętość i łaska. Jeśli na zasadach tej ekonomii Bożej uformujemy nasze życie katolickie, zrodzi się w nas spontaniczne apostolstwo. Na każdym posterunku, na każdym odcinku życia, będziemy głosili Chrystusa, nie tyle słowami, ile zastosowaniem praktycznym Jego nauki i Jego przykazań. Wtedy nie zbraknie nam odwagi. Jeśli tyrańska przemoc nie potrafiła zwalczyć Kościoła w pierwszych wiekach jego istnienia, mimo wszystkich środków jakich użyła — to główna przyczyna tkwi w tym, że pierwsi chrześcijanie mieli gorącą, żywą wiarę i zjednoczeni byli miłością w jedno.

Dzisiaj po 19-tu stuleciach istnienia Kościoła nic się w tym zagadnieniu nie zmieniło. Tylko wiara nieugięta i miłość płynąca z wiary, może uczynić nas niezwyciężonymi. „A to jest zwycięstwo wasze, wiara wasza".

Zagadnienia chwili obecnej są wielkie. Stoimy wobec największego może przełomu w historii świata. Wiemy, że Kościół Chrystusowy będzie niezwyciężony, że nic Go nie zwalczy i bramy piekielne Go nie obalą. Ale my, jego wyznawcy, jeśli nie docenimy należycie naszych obowiązków, możemy wśród tej wichury dziejowej odpaść od niego, jako te liście pod wichrem jesiennym. Zbliżmy się tedy do betlejemskiego żłóbka i słuchajmy tej mowy mądrości, jaką przemawia do nas Maleńkie Dziecię Jezus. Niech tegoroczne święta Bożego Narodzenia będą nie tylko przeżyciem uczuciowym, ale przedziwną nauką, jaką daje nam nasz Boski Zbawca, nie tyle słowem, co przykładem poświęcenia się dla nas. Niech ta nauka wniknie głęboko w nasze serce i codzienne życie.

Rorate Caeli ...

Śród świec Adwentu ciemnych
Ty jedna jesteś jasna.
Śród ludzi winą pokalanych
Ty jedna jesteś czysta.
W nizinach dusz upadłych i przyziemnych
Ty jedna jesteś wysoka.
W niestatku myśli w błąd wplątanych
Ty jedna jesteś widząca.
Śród uczuć biednych wichury zmiennej
Ty jedna mocna i stała.
W konaniu serc lemieszem męki rozoranych
Tyś jedna bez winy bolesna.
W ich niedosycie szczęścia, w wiecznym łaknieniu
Tyś jedna bez trwogi radosna
Bo ten, któregoś w sobie nosiła,
Sam Twoją jest Jasnością
i Przeczystością
i Twoim Wyniesieniem
i Prawdy prostym Widzeniem
i wszystką Twoją Siłą
i Mieczem, który kaleczy
i jest Dotknięciem, które leczy.
— A przeto otwórz się nad nami
— znów —
Niebo dziewicze
i z rosą łaski spuść Zbawiciela!
Otwórz się, Ziemio rodzajna,
Góro kwitnąca, Góro zielona
i wydaj Owoc swój dojrzały,
słodki i wonny —
Ukaż nam pełne chwały Oblicze
Emmanuela!
Jutrzenko wschodu, Gwiazdo poranna
Nam chromym i ślepym i głuchym,
nam ciemnym i stęsknionym,
nam niemocnym na ciele i duchu,
daj Pana! ....

Grudzień 1944 r. *S. Nulla*



Kolęda

A czemuż to się roznizał sznur perełeczek?
A czemuż to mi zapłakał miły Syneczek?
— Nie płacz że mi, Sokoliku, nie płacz Maluśki,
Bo nie znajdę pocieszenia w świecie całuśkim.
Cóż ja powiem gwiazdkom śniegu, kiedy spytają
Dlaczego Ci, moje Słonko, usteczka łkają?
Cóż ja powiem, gdy zapyta księżycek jasny,
Czemu przybladł mój Promyczek, Kwiatuszek krasny?
Cóż ja rzeknę aniołkowi spod ciemnej strzechy,
Że mi się Baranek cichy nie chce uśmiechnąć?
Nie płacz że mi już Syneczku, Maluśki, nie płacz,
Bo mnie łezka z Twoich ocząt w serce zapiekła.
Przygnali Ci pastuszkowie śnieżne jagniątko —
Będzie z wełny kołdereczka dla Cię, Bożątko.
Dwa pająćzki srebrną nitkę snują z powały
Będą Dziecku koszulinę srebrzystą tkały.
Naradzają się w szczelinie skalne gołębie,
Którą by zaśpiewać Panu pierwej kolędę.
Naradzają się wróbelki z trznadlem i gilem.
Jaką by piosneczką Panu nockę umilić.
Śnieg otulił całą ziemię giezłeczkiem białym,
Żeby oczom Barankowym jaśniej się zdało.
A choinki zieleniutkie proszą zza progu:
Porąbajcież nas na ogień małemu Bogu!
Damy drewka dość na opał — jodły i świerki,
Rozweselą Dziecku oczy złote iskierki,
Czemuż płacze mój Maluśki, płacze Sokolik?
— Odgaduje moje serce, co Go tak boli...
Proszę ja was, moi ludzie, przestańcie grzeszyć
Bo mi nijak się Syneczek nie chce pocieszyć.

Grudzień 1944 r. *S. Nulla*

O. Rom. Kostecki O. P.

Pomnażać miłość Bożą

„Łaska wam... niech się rozmnoży"
(I. Piotr 1/2).
„Łaska .. niech się wam wypełni"
(II. Piotr 1/2).

Doskonałość chrześcijańska zasadza się na łasce uświęcającej, oraz na cnotach wlanych, towarzyszących jej, pośród których naczelne miejsce zajmuje miłość. Łaska, cnoty wlane i dary Ducha św. stanowią organizm uzdalniający duszę do życia nadprzyrodzonego. Łaska jest jakby nową naturą. Cnoty wlane to jakoby nowe władze, dostosowane do nowej natury. Łaska razem z cnotami i darami Ducha św. jest czymś żywotnym. Wszystko, co żyje, podlega prawu rozwoju. To prawo dotyczy także organizmu nadprzyrodzonego. A więc łaska wraz z cnotami winny w nas róść.

„Łaska wam... niech się rozmnoży" (I. Piotr 1/2).

Na rozwijaniu łaski i cnót wlanych zasadza się dążenie do doskonałości. „A czyniąc prawdę w miłości, żebyśmy rośli we wszystkim w Nim, który jest głową, Chrystus" (Efez. 4/15). Przez pracę nad nabyciem doskonałości i świętości mamy dojść do „stanu męża doskonałego, do miary pełności Chrystusowej; abyśmy już nie byli dziećmi chwiejącymi się i nie byli unoszeni od każdego podmuchu nauki przez złość ludzką, przez chytrość na oszukanie błędu". (Efez. 4/13—14). Praca nad świętością obowiązuje wszystkich. Nie tylko doskonałych, ale i tych, którzy już nieco postąpili naprzód.

Nie można nigdy powiedzieć sobie, że się już jest u celu, że dalej iść już nie trzeba. „A kto sprawiedliwy jest, niech się jeszcze usprawiedliwi, a święty niech się jeszcze uświęca" (Apok. 22/11). Doskonałość bowiem nasza ma się wzorować nie na świętych, ale na Bogu samym. „Bądźcie wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest" (Mt. 5/48). Bóg jest nieskończony w Swej doskonałości. Nie można Mu nigdy dorównać. Stąd obowiązek ustawicznej pracy nad sobą, ustawicznego posuwania się naprzód. Nie wolno nam nigdy stać, ani odpoczywać w drodze do doskonałości. Duch Chrystusowy przebijający się na każdej stronie Ewangelii mówi nam: „Naprzód! Zawsze naprzód!"

Istota doskonałości.

Istota doskonałości zasadza się na cnocie miłości Boga i bliźniego. Dlatego postępować na drodze doskonałości jest to samo, co rozwijać w sobie miłość. I na odwrót, róść w miłości znaczy to samo, co uświęcać się. Stąd św. Paweł nawołując wiernych do świętości zachęca ich, by rośli w miłości. „I o to proszę was, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała..." (Filip. 1/9). „Niechaj Pan rozmnoży i niech sprawi, by obfitowała miłość wasza jednego ku drugiemu i ku wszystkim". (I. Tess. 3/12).

Potęgując w sobie miłość tym samym będziemy rośli i w innych cnotach, bo wszystkie cnoty łączą się ze sobą w cnocie miłości.

„A nad to wszystko miejcie miłość, która jest związką doskonałości". (Kol. 3/14). Miłując Boga coraz goręcej, będziemy tę miłość okazywać coraz wyraźniej przez praktykę cnót moralnych. „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zazdrości, złości nie wyrządza, nie nadyma się; zaszczytów nie pragnie, nie szuka swego, gniewem się nie unosi, nie myśli złego; nie raduje się z nieprawości, ale weseli się z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko przetrwa". (I. Kor. 13/4—7).

Praca nad sobą streszcza się więc w trosce o rozwój cnoty miłości. „Ubiegajcie się o miłość" (I. Kor. 14/1). Pierwszy krok na drodze do świętości to nabycie miłości. Gdy ona jest już w duszy, należy zabrać się do pielęgnowania jej i ustawicznego rozwijania tak, by dojść tu na ziemi do doskonałej miłości.

Doskonała miłość.

Oto cel życia ludzkiego, zarazem obowiązek pierwszy i najważniejszy. Zależnie od tego jak go spełnimy — taka będzie nasza wieczność. Wszystkie poszczególne obowiązki winny być podporządkowane trosce o doskonałą miłość. Mają nam pomagać przy rozwijaniu miłości i równocześnie okazywać ją na zewnątrz. „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest" i t. d.

Świętość jest obowiązująca i dostępna dla wszystkich.

Doskonała miłość, jako istota świętości, jest obowiązująca. Wyraźnie mówi Chrystus Pan: „Bądźcie doskonałymi". Nauka Ewangelii jest przesiąknięta duchem doskonałości. Kto ją w całej pełni zastosuje w swym życiu, dojdzie do świętości heroicznej. Obowiązek świętości dotyczy każdego z nas. Wszyscy, a nie tylko wybrańcy, mają do niej dążyć. Nie ma dwóch dróg do Boga. Jedna dla szerokiego ogółu, nieobowiązanego starać się o świętość. Druga dla jednostek uprzywilejowanych. Ale jedna i ta sama dla wszystkich. Jest nią droga miłości Boga. Nie można się wymawiać, że nie jest się godnym świętości, albo że ona jest ponad nasze siły. Podobne wymówki, mające nieraz pozór pokory, w gruncie rzeczy są wyrazem ukrytego lenistwa duchowego i małoduszności. Bóg nawołując nas do świętości nie pozostawia nas naszym słabym siłom, ale ofiaruje nam swoją pomoc. Jest nią łaska. Łaska to energia nadprzyrodzona. Przy jej pomocy wszystko można. „Wszystko mogę w tym, który mię umacnia" (Filip. 4/13). Źródłem łaski jest Chrystus. Od Niego spływa ona do nas, bądź wprost, bądź też przez pośrednictwo sakramentów. Chodzi tylko o to, by się wystawić na jej działanie, by chcieć z niej korzystać. Mając łaskę Bożą na zawołanie nie możemy twierdzić, że świętość jest dla nas niedostępna.

Łaska i cnoty wlane winniśmy rozwijać, przechodząc normalnie wszystkie fazy życia nadprzyrodzonego.

Trzy fazy życia nadprzyrodzonego.

Między życiem przyrodzonym a nadprzyrodzonym istnieje analogia. Obydwa podlegają podobnym prawom.

W życiu fizyczno-psychicznym wyróżniamy trzy zasadnicze okresy: dzieciństwo, młodość i wiek dojrzały. Każdy z tych okresów ma pewne cechy sobie właściwe, którymi różni się od innych. Inaczej przedstawia się życie fizyczno-psychiczne dziecka, a inaczej młodzieńca, a jeszcze inaczej człowieka dojrzałego. Wraz ze zmianami organicznymi zmienia się umysłowość. W dzieciństwie kierujemy się więcej zmysłami, wyobraźnią, uczuciami, niż rozumem. Natomiast we fazie młodości, a następnie w okresie dojrzałości na pierwszy plan występuje rozum. Sposób myślenia, podchodzenia do pewnych zagadnień, jest inny niż w pierwszej fazie. Słowem, jest w naszej psychice stopniowa zmiana, ewolucja. O niej wspomina św. Paweł w I. Kor. 13/10–11. „A gdy przyjdzie to, co jest doskonałe, ustanie co jest częściowe. Gdy byłem dziecięciem, mówiłem jak dziecię, rozumiałem jak dziecię, myślałem jak dziecię. Gdy zaś mężem się stałem, odrzuciłem, co było dziecinnego".

Coś analogicznego mamy w życiu nadprzyrodzonym. I tu należy wyróżnić trzy okresy. A więc okres dzieciństwa, młodości i dojrzałości duchowej. Jest to podział tradycyjny, oparty na nauce ojców Kościoła, teologów i mistyków. Noszą one różne nazwy. Niektórzy dają im miano drogi: oczyszczającej, oświecającej i jednoczącej. Inni znów dzielą dążących do doskonałości na początkujących, postępujących i doskonałych. Mniejsza o nazwę. Istotną rzeczą jest to, że w życiu duchowym winien być postęp. Łaska i cnoty nie mogą tkwić w duszy jako coś martwego, nieżywotnego, ale muszą się rozwijać i doskonalić na wzór życia przyrodzonego, przechodzić stopniowo z jednej fazy w drugą, dopóki nie dojdą do pełni doskonałości, czyli dojrzałości duchowej.

Patrzeć na wzory!

Nie mamy zamiaru opisywać stanu dusz w poszczególnych okresach. Nie jest to rzecz łatwa. Nauczycielami kompetentnymi w tej dziedzinie są święci. Oni przez te fazy przeszli, dlatego oni jedynie mogą nam powiedzieć, jak rozwija się w duszy życie nadprzyrodzone i jak przedstawia się stan duszy w poszczególnych okresach. Klasycznymi dziełami poruszającymi to zagadnienie są pisma św. Jana od Krzyża. Nam chodzi o wskazanie sposobu normalnego rozwoju łaski i miłości Bożej. Chcemy odpowiedzieć na pytanie: co robić, by dojść do dojrzałości duchowej.

Dojrzałość *duchowa.*

„Łaska... niech się wam wypełni" (II. Piotr 1/2). Łaska poświęcająca wraz z cnotą miłości winna w każdej duszy „wypełnić się", czyli dojść do pełni rozwoju. Pełnia rozwoju łaski w duszy to jej dojrzałość duchowa, będąca celem życia chrześcijańskiego. Każdy tu na ziemi powinien dojść do takiego stanu duchowego, który by mu pozwolił od

razu po śmierci połączyć się z Bogiem w widzeniu uszczęśliwiającym. Zatrzymywanie się w czyśćcu jest pod pewnym względem czymś anormalnym. Kto nie dojdzie wprost do nieba, to dlatego, że nie pozwolił łasce rozwijać się normalnie. Łaska z chwilą zaistnienia w duszy, powinna w niej ustawicznie działać, przerabiając ją od wewnątrz.

Podobieństwo do kwasu.

Działalność łaski można porównać do kwasu. „Podobne jest królestwo niebieskie do kwasu, który wziąwszy niewiasta, zakryła we trzy miary mąki, aż się wszystka zakwasiła“ (Mt. 13/33). Łaska uświęcająca ma „zakwasić“ całkowicie naszą duszę, ma zapuścić swe soki Boże do wszystkich jej komórek, do wszystkich władz, czynności, naszych myśli, pragnień i t. p. Rozwój życia nadprzyrodzonego w duszy, to ustawiczne przerabianie, przetwarzanie, przeobrażanie się na obraz i podobieństwo Boże.

Walka o wolność miłości.

Rozwój życia wewnętrznego dokonywuje się przede wszystkim przez cnotę miłości. Cnota miłości idąca zawsze w parze z łaską uświęcającą, jest wykładnikiem naszego wewnętrznego nastawienia do Boga i w ogóle wewnętrznego stanu duszy. Dojrzeć duchowo tu na ziemi, to oddać Bogu całe swoje serce: „Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej duszy twojej, ze wszystkich sił twoich“ (Deut. 6/5). Oddanie Bogu całego serca natrafia u nas na wielkie trudności. Stąd wyłoniła się konieczność walki o wolność i swobodę miłości Bożej. Konieczność ogołocenia się z wszystkiego, co przeszkadza w miłości Boga. Zwłaszcza z miłości własnej. Kto się podejmie tej pracy w sposób systematyczny i w niej wytrwa, niechybnie dojdzie do zjednoczenia z Bogiem. Stanie się doskonałym!

Miłość siła jednocząca.

Miłując Boga jednoczymy się z Nim. „Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim“ (I. Jan 4/16). Z rozwojem miłości zacieśnia się też łączność z Bogiem. Przez każde powiększenie w duszy miłości, zbliżamy się do Boga coraz więcej. Doskonała miłość to zupełne uzgodnienie naszej woli z wolą Boga. To jakby przemiana naszej woli w wolę Boga. Miłość doskonała pragnie pełnić tylko wolę umiłowanego. Cnota miłości mając wpływ na inne cnoty, wprzęga je w swoją służbę i pobudza je do działania. Poprzez inne cnoty promieniuje na zewnątrz dokoła siebie: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest...“ Wpływając na inne cnoty i skierowując je wszystkie ku Bogu, cnota miłości wprowadza jedność i równowagę w życiu duchowym. Za porządkiem i ładem idzie pokój. Stąd dusze Boga miłujące, cieszą się pokojem ducha i zadowoleniem wewnętrznym.

Aby dojść do doskonałej miłości trzeba

Biec krokiem przyspieszonym

po ścieżkach doskonałości chrześcijańskiej. „Tak biegnijcie, abyście osiągnęli“ (I. Kor. 9/24). Kto chce osiągnąć doskonałą miłość, winien brać sobie wzór z tych, co „w zawody biegają“. A każdy, który idzie w zawody, od wszystkiego się powstrzymuje. A oni przecież aby skazitelny wieniec otrzymać, a my nieskazitelny“ (I. Kor. 9/25—26). Biec po drogach doskonałości to róść w łasce i miłości Bożej, rozwijając je ustawicznie i systematycznie.

Jak praktycznie należy to czynić? Kiedy i w jaki sposób powiększa się w duszy łaska i miłość Boża? Oto pytania, na które winniśmy sobie jasno odpowiedzieć.

Bóg powiększa łaskę i miłość, my zasługujemy.

Rozwój łaski poświęcającej i miłości Bożej nie zależy od nas, ale od Boga. Bóg tylko może łaskę powiększać, tak jak On tylko może jej komuś udzielić. My możemy sobie jednak na to zasłużyć. Faktycznie rozwój łaski i miłości w naszych duszach uzależniony jest od osobistych zasług. Każdy dobry uczynek wykonany w stanie łaski i pod wpływem miłości Bożej nagradza Pan Bóg powiększeniem samej łaski i cnót jej towarzyszących.

Nie zawsze jednak nagradza od razu, czyli nie zawsze zaraz po dokonanym uczynku zwiększa się w nas stan łaski i cnota miłości. Ale wtedy tylko, gdy czynność zasługującą wykonaliśmy z należytą gorliwością, gdy w nią włożyliśmy całą duszę.

Wkładać całą duszę!

Wkładać całą duszę w swoje czynności znaczy wkładać w nie energię nadprzyrodzoną, jaką dysponujemy. Łaska poświęcająca razem z cnotami, to energia Boża nadprzyrodzona, przeznaczona do działania, przebywająca w duszy w stanie potencjalnym. Przy wykonywaniu danych poszczególnych czynności winniśmy ją całą zużytkować. Wyrażając się językiem fizyków, winniśmy cały jej potencjał zamienić na czyn. Czynność wykonana z wkładem wszystkich sił, jakie posiadamy, jest gorliwa i zasługuje na natychmiastowe zwiększenie łaski i miłości Bożej. Gdy tego całkowitego wkładu sił brak, uczynek wprawdzie jest zasługujący na powiększenie łaski, ale ono nie nastąpi od razu. Dopiero wówczas Bóg pomnoży łaskę, gdy zdobędziemy się na gorliwość i spełnimy czynność z całym napięciem energii, jaką w sobie mamy.

Dla jaśniejszego przedstawienia tej prawdy, tak bardzo ważnej i praktycznej zarazem, zilustrujemy ją przykładami. Weźmy pod uwagę dwie osoby posiadające po dziesięć stopni energii nadprzyrodzonej. Jedna z nich wkłada w swe czynności (np. w modlitwę, wiarę, cierpliwość i t. p.) cały zapas sił, czyli całe owe dziesięć stopni. Skutek uczynku w ten sposób wykonanego będzie taki, że od razu łaska i cnoty powiększają się. Z dziesięciu stopni — przypuśćmy — przejdzie na dwanaście. A więc wzmoże się w niej siła duchowa i w ogóle całe życie wewnętrzne. Następny uczynek będzie mogła wykonać jeszcze z większą energią

duchową i wysłużyć sobie jeszcze obfitsze pomnożenie łaski. I tak w nieskończoność. Jeśli wytrwa w gorliwości, postęp jej w życiu duchowym nie tylko będzie się zwiększał za każdym dobrym uczynkiem, ale co ważniejsze, będzie rósł z szybkością przyspieszoną.

Normalny rozwój życia wewnętrznego można przyrównać do spadania ciała rzuconego w próżnię. Przypuściwszy, że w pierwszej sekundzie leci z szybkością pięć metrów, w następnych sekundach będzie spadać coraz szybciej. Szybkość spadania powiększa się równomiernie w każdej następnej chwili.

Coś analogicznego spotykamy w dziedzinie duchowej. I tu można mówić o przyspieszonym wzroście łaski i miłości. One rozwijałyby się na wzór ciała spadającego, po każdej czynności szybciej, gdyby nie napotykały żadnych przeszkód. Grzech, brak gorliwości w dobrem — oto, co nie pozwala nam iść równomiernie naprzód w życiu duchowym.

Weźmy znów pod uwagę inną osobę, mającą taki sam stopień łaski, co i pierwsza. A więc dziesięć talentów. Zabierając się do działania, nie wkłada w nie (np. w modlitwę) całego zasobu sił, jakim dysponuje, ale tylko, przypuśćmy, połowę. Wykonany uczynek będzie zasługujący na zwiększenie stanu łaski i miłości, lecz to zwiększenie nie nastąpi zaraz. Zostanie ono zawieszone aż do chwili, gdy zdobędzie się na czynność, w którą włoży całą swą energię, jaką posiada. Jeśli przez dłuższy czas czynności jej nie będą mieć należytej gorliwości, postęp jej w życiu wewnętrznym bardzo się opóźni. Widać z tego, jak wielkie szkody duchowe ponoszą dusze mało gorliwe. Nie dając ze siebie wszystkiego na co je stać, stoją na miejscu, wegetują duchowo. Prawo życia domaga się, by iść zawsze naprzód, rozwijać się. Brak gorliwości jest przyczyną, że nie przechodzą z jednej fazy życia duchowego do drugiej, co jest rzeczą nienormalną, jak anormalnym było by, gdyby ktoś wyszedł z lat dziecinnych, a nie wyszedł ze stanu dzieciństwa. Przykłady takiej nienormalności w życiu fizyczno-psychicznym zdarzają się rzadko. Natomiast, jeśli chodzi o życie nadprzyrodzone, nie będzie w tym wcale przesady, gdy powiemy, że tu

Wyjątki są regułą

i że dusze normalnie się rozwijające są raczej wyjątkami. Smutna to rzeczywistość. Ale niestety prawda! Zapewne, że nie znamy głębi dusz ludzkich. One jedynie Bogu są znane. Sądzimy o nich z owoców. Tak nas nauczył Chrystus. „Z owoców ich poznacie je". Owocem normalnego rozwoju łaski jest świętość heroiczna. Z tą spotykamy się rzadko. Więc ogół dusz nie idzie drogą normalną w życiu wewnętrznym. Wiele jest wezwanych do doskonałości, mało jednak dochodzi do niej.

Dlaczego? Gdzie leży przyczyna tej nienormalności? Na to odpowiada nam św. Jan od Krzyża: „Bóg chce, by wszyscy byli doskonałymi. Mało jednak znajduje się naczyń, które by mogły znieść tak wysokie i wzniosłe działanie. Próbując bowiem te dusze w małych rzeczach, znajduje je zbyt słabymi, gdyż wnet uciekają od trudów, nie chcą znieść najmniejszej przykrości czy zmartwienia. A gdy w tych

małych rzeczach, przez które zaczynał je Bóg podnosić i zaznaczać pierwsze rysy doskonałości, nie znalazł ich mężnymi i wiernymi, wie dobrze, że tym mniej wierne będą w wielkich i dlatego nie postępuje już dalej w oczyszczaniu ich i podnoszeniu z prochu ziemskiego przez trudy umartwienia, gdyż do tego była potrzebna większa stałość i męstwo, niż one okazały. Tak więc jest wielu, którzy pragną naprzód postępować i z wielką usilnością proszą Boga, by ich pociągał i prowadził do tego stanu doskonałości, a gdy Bóg zaczyna podnosić ich przez pierwsze cierpienia i umartwienia, które są niezbędne, nie chcą ich przyjmować, chronią swe ciało, uchodząc z wąskiej drogi wyrzeczenia, a szukając szerokich gościńców pociech, które są ich zgubą". (Żywy płomień miłości — strofa 2-ga n. 27).

Brak odwagi, męstwa, wytrwałości w utrapieniach towarzyszących normalnemu rozwojowi łaski, cofanie się przed nimi, oto przyczyna, że mało jest „wybranych" pośród wielu wezwanych i ustawicznie wzywanych do doskonałości.

Brak wytrwałości.

Brak wytrwałości jest wadą specyficznie polską. Ona to w większości wypadków przeszkadza duszom wznieść się na szczyty doskonałości. Wiele jest takich, co zaczynają z entuzjazmem. Po prostu palą się początkowo. Lecz gdy ta praca potrwa jakiś czas, a nie widzi się od razu jej skutków, ogół cofa się ze zniechęceniem.

Chcąc rozwijać się normalnie pod względem duchowym, należy od początku podchodzić do pracy nad sobą z nastawieniem woli trwania przy niej za wszelką cenę. Następnie wprowadzić do niej pewną systematyczność, porządek. Trzeba upodobnić się do mrówki. Lepiej iść wolniej ale systematycznie i ustawicznie, niźli bardzo szybko zaczynać, a za chwilę stawać i cofać się. Wytrwałość zawiera w sobie pewną trudność. Robić rzecz łatwą przez dłuższy czas — nuży nas. Biorąc pod uwagę nasze usposobienie sangwiniczne, zmienne, wrażliwe, pragnące coraz to nowych wrażeń, nie będziemy się dziwić, że systematyczność nie jest łatwa. Dlatego zabierając się do pracy, trzeba uzbroić się w męstwo i opanowywać swoją zmienność i niestałość. Kto tę słabość zechce opanować, może liczyć na to, że dojdzie do zamierzonego celu.

Sekret świętości!

Aby nie stać się duszą nienormalną w życiu duchowym, trzeba systematycznie iść naprzód przechodząc z jednego okresu w drugi. Normalny rozwój domaga się — jak widzieliśmy — wkładania całej duszy w swe czynności. W gorliwości mieści się sekret szybkiego postępu w życiu duchowym. Tu rzecz się ma podobnie, jak w każdej innej dziedzinie. Ci dochodzą do zamierzonych celów, którzy im się oddają całkowicie. Połowiczność, niesystematyczność, niedbalstwo, dyletantyzm nikogo do niczego pozytywnego nie doprowadziły. Cóż dopiero mówić o rzeczy tak wielkiej i wzniosłej jak świętość.

Kto natomiast zabiera się do pracy nad sobą z całym napięciem energii ducha, na pewno osiągnie spodziewane rezultaty. Prędzej i pewniej, niż w innej dziedzinie. Świętość to rzecz czysto wewnętrzna. W tym nikt i nic nie może nam stać na przeszkodzie, prócz naszej słabej woli. Prace w innych dziedzinach domagają się czegoś więcej. A więc zdolności, fachowego wyrobienia, warunków zewnętrznych, narzędzi itp. Gdyby tego zabrakło, dobra wola nie wystarczy. Przy świętości wszystko mieści się w dobrej woli i umiejętności chcenia. Są to rzeczy istotne. Wszystko inne odgrywa tu rolę rzeczy drugorzędnej.

Podkreślając rolę dobrej woli, nie wykluczamy oczywiście działania łaski. Bez niej nie można nawet marzyć o świętości. Łaski jednak nikomu nie brak. Chcieć świętości, być gorliwym, znaczy to samo, co współpracować z pomocami, jakie Bóg daje każdej duszy. Umieć wykorzystać każde poruszenie łaski, żadnego nie zmarnować — oto największa filozofia życiowa. To wymaga uwagi ducha i napięcia woli. W tym właśnie leży istota gorliwości i sekret normalnego uświęcenia się.

Czyn świadomy i ochotny.

Wtedy uczynki zasługują na natychmiastowe pomnożenie w nas życia łaski, gdy są gorliwe, czyli, gdy wkładamy w nie całą naszą energię ducha. Jak to rozumieć? Jak to czynić praktycznie? Należy z góry zaznaczyć, że nie chodzi tu o wysiłki nerwów. W pracy duchowej mają działać nie nerwy ani muskuły, ale duch. Było by wielkim błędem wysiłek nerwów brać za wysiłek ducha. Uczynek gorliwy, to czyn świadomy i chętny.

W każdej czynności ludzkiej biorą zawsze udział dwie władze duchowe: rozum i wola. Im w danej czynności jest więcej rozumu i woli, tym uczynek jest doskonalszy; najpierw w swej konstytucji psychicznej, a następnie doskonalszy także pod względem dobroci lub złości moralnej. Na ten punkt winniśmy zwracać zawsze szczególną uwagę.

Zabierając się do jakiegokolwiek czynu winniśmy sobie zawsze jasno uświadomić, co mamy robić, jak to należy zrobić i dlaczego. Pobudki każdej czynności muszą płynąć z wiary! Mają być nadprzyrodzone!

Potem ma iść wola! Im będzie więcej świadomości i zdawania sobie sprawy z uczynku zamierzonego oraz im więcej w niego włożymy dobrej woli, tym uczynek stanie się doskonalszy w swej dobroci moralnej! Ochotna gotowość woli idzie w parze zwyczajnie ze świadomością. Kto lepiej uświadamia sobie np. wartość modlitwy, ten ochotniej będzie się do niej zabierał i więcej dobrej woli w nią włoży.

Ważną tedy jest rzeczą, by wszystko robić uważnie, z zastanowieniem, z uwagą możliwie najbardziej aktualną i by w czynności zamierzone wkładać motywy najszlachetniejsze. A następnie ochoczo się na nie decydować. Gorliwy uczynek domaga się więc od nas wysiłku rozumu i wysiłku woli. Trzeba chcieć uważać, oraz trzeba chcieć, chcieć. Trzeba zwrócić baczną uwagę zwłaszcza na to ostatnie. Pan Bóg patrzy

przede wszystkim na chcenie. Bo i samo myślenie, czyli uwaga, także zależy od chcenia. Nieuwaga, brak zastanowienia się, i brak skupienia ducha, jest oznaką mało dobrej woli.

Skupienie uwagi.

W nieuwadze należy szukać rozwiązania „tajemnicy nieprawości", jaką jest grzech. W każdym wykroczeniu moralnym jest zawiniony brak uwagi. W nieuwadze leży zwyczajnie przyczyna upadków moralnych. Nieuwaga jest największą przeszkodą dla działania łaski Bożej w duszach. Ona też zwyczajnie osłabia i obniża wartość moralną naszych czynności. Gdy uwaga słabnie, czynności przeradzają się w szablon, stają się płytkimi, banalnymi. Za czym idzie zwyczajnie niedbalstwo w wykonywaniu zewnętrznym.

Czuwaj! Oto hasło, które ustawicznie winniśmy mieć na pamięci. Uwaga ma stać na straży każdego naszego kroku. Nie wolno nam nigdy zamykać oka na żadną okoliczność, a zwłaszcza na cel dzieła rozpoczętego.

Dużo dobrej woli.

Jeśli za świadomością i uwagą pójdzie dużo dobrej woli, czynność nasza będzie wielka wobec Boga. Ze wzrostem dobrej woli powiększać się też będzie i wartość moralna czynu. Stąd słusznie powiedziano: „qui multum amat, multum laborat". Kto wiele miłuje, wiele pracuje.

Ochotnej gotowości woli niekoniecznie musi towarzyszyć entuzjazm uczuciowy. Owszem, mogą zajść wypadki, że będziemy się czuć bardzo oziębli, apatyczni, opieszali. To jednak nie zmniejszy wartości czynu, jeśli wola nie osłabnie i nie da się porwać za sobą niechęci i opieszałości uczuciowej. Pan Bóg nie patrzy na to, jak się czujemy uczuciowo przy danym uczynku, ale z jaką wolą go spełniamy. Nie zawsze ochotna gotowść uczuciowa idzie w parze z takąż gotowością woli. Widzimy tą rozbieżność nawet u Chrystusa podczas modlitwy w ogrojcu. Uczucie Jego wzdryga się przed cierpieniem, wola jednak zawsze jednako ochotnie chce spełnić życzenie Ojca Niebieskiego.

Wkładajmy więc zawsze całą naszą dobrą wolę w poszczególne czynności. Nie tylko w te wielkie i ważne, od zewnątrz, ale w każde, nawet najdrobniejsze zajęcie. U dążących do świętości nie powinno być mowy o małowartościowości, czy banalności w życiu codziennym.

Wzniosłość życia codziennego.

Jesteśmy przyzwyczajeni oceniać wartość czynów według ich formy zewnętrznej. To, co uderza, olśniewa, wprawia w podziw, uważamy za wielkie i wartościowe. Jest to ocena, jeśli nie błędna, to w każdym razie niezupełna i nieścisła.

Wielkim i wartościowym w życiu chrześcijańskim jest to, co prowadzi do celu ostatecznego. A więc to wszystko, co nas zbliża do Boga, choćby nazewnątrz było małym i drobiazgowym.

Życie codzienne winno być wielkim od wewnątrz! Stanie się takim. jeśli wszystkie czynności będą świadome, uważne, oraz ochotne.

Uwaga i chętna wola podniosą życie moralne na wysoki poziom duchowy, który z każdą czynnością będzie się w nas potęgował. Po każdym takim uczynku będziemy więcej wyrobieni, dojrzalsi, bliżej Boga. Słowem — świętsi!

Wnioski praktyczne.

Pamiętajmy o tym, by w każdą czynność wkładać całą energię ducha. Róbmy wszystko uważnie i ochotnie, zarazem wytrwale i systematycznie. Nie zmarnujmy ani jednej chwili. Brońmy się przed szablonem, rutyną. Wówczas niechybnie dojrzejemy duchowo. „Miłość Boża wypełni się w nas“. „A ścieżka sprawiedliwych jako jasna światłość wschodzi i rośnie aż do pełnego dnia“. (Przyp. 4/18).

NASZ WZÓR.

Bogarodzica jest jedyną spośród ludzi, która szła drogą w całej pełni normalną w życiu duchowym. Łaska Jej nie napotykała przeszkód ze strony grzechu czy niewierności, mogła się rozwijać z całą swobodą. Gorliwość cechująca jej życie duchowe była przyczyną nie tylko systematycznego, ale równomiernie przyspieszonego postępu w łasce i miłości Bożej. Życie Jej codzienne, brane od zewnątrz, było zwyczajnym. Od wewnątrz natomiast było przebogatym i wielkim. Bo całą duszę w nie wkładała.

Karm. Bos.

Modlitwa ustna

Wśród mnóstwa darów, którymi dobroć Boża wyposażyła człowieka, szczególne miejsce zajmuje dar mowy. Dzięki niemu, jednostka ludzka przestaje być samotną wyspą na wielkim oceanie świata. Słowo rzuca pomost między nią a resztą ludzi, pozwala dzielić się z nimi swoimi spostrzeżeniami, sądami, uczuciami. Myśl ludzka — to nieuchwytne zjawisko, może dzięki słowu przenosić się od człowieka do człowieka, udzielać się, rozpowszechniać, uzewnętrzniać. Dar mowy jest czynnikiem ludzkiego braterstwa. Łączy ludzi, kładzie podwalinę pod ich jedność, uspołecznia.

Bóg, który żyje wiekuiście w najdoskonalszej i radosnej wspólnocie Trzech Przenajświętszych Osób, orzekł już u początku dziejów ludzkości. że nie dobrze być człowiekowi samemu, więc czyniąc go istotą społeczną, dał mu zdolność mowy, jako jeden z czynników wspólnoty.

Zdawało by się, że dar mowy ma zastosowanie tylko w stosunkach międzyludzkich, tylko wtedy, gdy chodzi o wzajemne porozumienie istot, które nie mogą w inny sposób poznać nawzajem swoich myśli. Zdawało by się, że nie trzeba słów wtedy, gdy człowiek obcuje z Duchem naj-

czystszym i wszechmogącym, gdy się modli. Czyż Bóg nie przenika duszy aż do dna, czy nie widzi każdego jej drgnienia? Czy nie jest „bliższy“ jej, niż ona sama sobie? A nadto, czy ujęcie modlitewnych porywów, zbożnych pragnień w słowa, nie odejmie im bezpośredniości, nie przygasi wewnętrznego ognia? „Myśl leci bystro nim się w słowach złamie“ i często odczuwamy niewspółmierność słów ze stanami psychicznymi, które chcielibyśmy wyrazić. I jeszcze jedna obawa: jak ustrzec modlitwę ustną, by się nie przerodziła w bezduszną formułę?

Odpowiemy sobie na te pytania, rozważając rolę modlitwy ustnej w życiu ludzkim, oraz jej główne właściwości.

Pomoc słów.

W życiu wewnętrznym modlitwa ustna ma do spełnienia zadanie sobie tylko właściwe.

Człowiek, silnie uzależniony od materii i z nią związany, odbywa swoją wędrówkę ku niebu z wielkim mozołem. Nie łatwo wznosi się do duchowego obcowania z Bogiem, którego przecież pragnie miłować. To też religia, stosując się do duchowo-zmysłowej natury ludzkiej, *posługuje się* w kulcie Bożym *znakami* zewnętrznymi, jak słowo, śpiew i gest. Stosuje się tu zasadę psychologiczną, że znak zewnętrzny ma zdolność wywołać pewne nastawienie duchowe, lub gdy ono już istnieje — spotęgować je.

Modlitwa ustna odgrywa więc w życiu religijnym rolę podniety: rozbudza pobożność. Żarliwe słowa modlitwy, wymawiane z zastanowieniem, wywołują w umyśle refleksje, a w sercu pobożne uczucia. Budzą duszę z obojętności i apatii, krzeszą w niej zbożne pragnienia, bez których nie ma prawdziwej modlitwy.

Nie żąda się od formuły modlitewnej, aby całkowicie, z wszystkimi odcieniami, odzwierciedlała stany duszy. Słowa spełnią dobrze swoją rolę, jeśli będą *znakami* wewnętrznej treści, której bogactwo łatwiej odczuć, niż wyrazić, jeśli przygotują człowiekowi dostęp do duchowego obcowania z Bogiem, jeśli wywołają akty miłości. Istotą obcowania z Bogiem jest miłość, a słowa modlitwy mają służyć jej wzrostowi.

Póki modlitwa ustna pomaga do obcowania z Bogiem, podtrzymuje żarliwość wewnętrznego pragnienia, póty należy z jej pomocy korzystać. Gdy jednak pobożność jest dostatecznie żywa, i słowa hamują raczej wewnętrzny poryw duszy, gdy zaczynają zawadzać, należało by ich zaniechać. Oczywiście, jeśli nie chodzi o modlitwy obowiązkowe.

Cennej pomocy użycza modlitwa ustna, zwłaszcza w początkach życia duchowego, gdy człowiek nie posiadł jeszcze umiejętności rozmawiania z Bogiem. *Modlitwa ustna, to dla początkujących szkoła obcowania z Bogiem.* Pomaga im wyrażać Bogu uczucia jeszcze słabo uświadomione, doprowadza do głosu utajone porywy i serdeczne pragnienia. Poddaje dla wypowiedzenia duchowych stanów formuły modlitewne, o niezrównanej piękności i doskonałości, z Modlitwą Pańską i Psałterzem na czele, a dalej cały przebogaty zasób modlitw Kościoła. Jakichże skarbów nie zawierają te święte, czcigodne i pradawne a prze-

ciez zawsze młode słowa! Zanurzenie się w nich odświeża umysł i serce. Korzystając z tych skarbów w modlitwie ustnej, dusza gromadzi w swoim wnętrzu obfite złoża myśli i przeżyć, którymi później będzie się posługiwać modlitwa myślna. Z tych źródeł ustnej modlitwy czerpie chrześcijanin głębokie poznanie Boga, poznanie siebie i dzieł Bożych, w nich znajduje zaspokojenie duchowych potrzeb. Modlitwa ustna uczy początkujących odpowiedniej postawy duchowej wobec Boga. Krok za krokiem prowadzi ich, jakby za rękę, posługując się pomocą słów, aż do samodzielnej modlitwy myślnej.

Modlitwa ustna oddziaływa jeszcze silniej, gdy łączy się z melodią, gdy staje się modlitwą śpiewaną. Melodia jednak musi być wówczas ściśle uzależniona od tekstu słów, a nie odwrotnie.

W tych okresach, w których władze duchowe stają się niezdolne do normalnego działania, a więc *podczas oschłości* wewnętrznej, *lub przy przemęczeniu, modlitwa ustna staje się* niezastąpioną *podporą dla duszy*, pozwalając jej mimo otępienia umysłu i oschłości serca trwać przy Bogu.

We wszystkich tych wypadkach ma zastosowanie zasada, że znak zewnętrzny — słowo budzi, lub potęguje w duszy pewną treść psychiczną. Lecz zdarza się na odwrót, że gdy treść psychiczna osiągnie wielkie nasilenie, wówczas dąży do tego, *aby się wyładować za pomocą słów*. Jeśli do owoców pobożnej modlitwy należy zazwyczaj radość wewnętrzna, to może ona, zwłaszcza na wyższych stopniach życia wewnętrznego, tak się spotęgować w duszy, że nie zdoła się obejść bez zewnętrznego wyrazu. „Tak wielką i niеobjętą dusza się cieszy rozkoszą" — mówi św. Teresa z Avila kreśląc obraz tego stanu [1]), „że chciałaby cieszyć się nią nie tylko sama, ale opowiadać ją wszystkim, aby wszyscy pomagali jej chwalić Pana, jak do tego jedynie dąży wszystko jej pragnienie... Takie snać rozradowanie czuł św. Franciszek w sobie, gdy chodził po błoniach i polach wielkim głosem wołając, a napadnięty przez zbójców, oznajmił im, że jest heroldem wielkiego króla".

Podnieta dla pobożności, przewodniczka w obcowaniu z Bogiem, ujście dla radości duchowej — oto zadania, które pełni modlitwa. Łatwiejsza od modlitwy myślnej, dostępna dla wszystkich, jest wielkim darem Boga dla ludzkości. Wiernie pielęgnowana, zdolna jest doprowadzić duszę do wysokiej bogomyślności, jak stwierdza św. Teresa od Jezusa [2]), podając za przykład w tym względzie pewną cnotliwą zakonnicę, która, mimo że nie potrafiła odprawiać modlitwy myślnej, dostąpiła łaski kontemplacji przy odmawianiu Modlitwy Pańskiej. Żadne bowiem przeszkody, prócz złej woli człowieka, nie są w stanie stawić tamy hojności Boga, zawsze gotowego udzielać się rozumnym swoim stworzeniom.

Niebezpieczeństwo słów.

Jak wszystkich darów Bożych, tak i *mowy łatwo jest nadużyć*. Mowa, mająca zasadniczo zbliżać i łączyć ludzi, służyć do ujawnienia

[1]) „Twierdza wewnętrzna" M VI, R VI. [2]) „Droga doskonałości" R XXX

myśli, staje się często przysłowiową bawełną, w której starają się prawdę ukryć, staje się nawet narzędziem, za pomocą którego ranią i kaleczą swoich bliźnich.

Także w stosunku do Boga można nadużyć słów. Już przed wiekami skarżył się Bóg przez proroka [3]), a ta skarga, podjęta przez Chrystusa [4]), po dziś dzień może być zastosowana do niejednej modlitwy: „Ten lud czci mię wargami, ale serce ich daleko jest ode mnie". Jeśli miłość nie przepoi modlitwy, zostanie z niej tylko dźwięk słów.

Podstawowym wymaganiem mowy jest, *aby słowo i treść psychiczna nawzajem sobie odpowiadały.* Do tego zaś koniecznie **trzeba uwagi.** Jeśli domaga się jej każda rozumna czynność ludzka, to cóż powiedzieć o modlitwie! Głównymi wrogami skupienia w modlitwie ustnej są: roztargienie i rutyna. **Roztargnienie** polega na chwilowym braku uwagi, lub na skierowaniu jej na inny przedmiot. Człowiek w stanie natury upadłej nie panuje całkowicie nad swoimi władzami, to też mimowolne odchylenia uwagi same przez się nie umniejszają jeszcze wartości naszych modlitw. Nie niweczą ich zasadniczego skutku, jakim jest wzrost łaski poświęcającej oraz wysłuchanie naszej prośby przez Boga. Mogą tylko odebrać duszy pociechę, stanowiącą drugorzędny owoc modlitwy.

Jeśli człowiek nie potrafi uniknąć wszystkich roztargień, to oczywiście nie powinien się nimi martwić ani zrażać. *Ważne są nie roztargnienia same, ale nasz do nich stosunek.* Wysiłek, na który się zdobywamy, aby ich uniknąć, niewątpliwie podoba się Bogu. Natomiast roztargnienia dobrowolne nie zwalczane, świadczyłyby o poważnym niezrozumieniu doniosłości modlitwy i obciążałyby duszę grzechem powszednim. Roztargnienia najlepiej zwalczać w samym ich źródle. Wypływają one często z jakiegoś nieuporządkowanego przywiązania, bo myśl najchętniej zwraca się ku temu, czego pragnie serce. Wypływają także z niepanowanej ciekawości, lub wybujałej wyobraźni, lubującej się w marzeniach.

Jeśli roztargnienia nie oznaczają jeszcze braku pobożności i uwagi w modlitwie, to przeciwnie ma się rzecz z **rutyną.** Rutyna to zmechanizowanie modlitwy ustnej, połączone ze stałym brakiem uwagi. O rutynie świadczy też zwykle zbytni pośpiech w odmawianiu modlitw ustnych. Czynności często powtarzane, łatwo ulegają mechanizacji. Przy tym także i słowa ciągle używane tracą swoją wyrazistość, niejako wycierają się, śniedzieją. Przestają wywierać na nas wrażenie; ich dźwięk nie znajduje w duszy żadnego odpowiednika. Te przyczyny sprawiają, że przy braku głębszej pobożności modlitwa ustna może się zmechanizować, stać się już tylko modlitwą warg.

Te spaczenia naprawia wysiłek skupienia. W modlitwie ustnej wyróżnia się tradycyjnie trzy rodzaje skupienia. Najniższy stopień niezbędny przy modlitwie ustnej, to *uwaga na poprawne wymawianie słów (attentio ad verbum).*

Uwaga na znaczenie (attentio ad sensum) polega na uświadomieniu sobie treści słów. Św. Teresa od Jezusa w swoich pismach kła-

---

[3]) Iz. XXIX, 13 [4]) Mat. XV, 8.

dzie nacisk na ten rodzaj uwagi. „Kiedy odmawiam W i e r z ę, sam zdrowy rozsądek, zdaniem moim, mówi, że powinnam też koniecznie wiedzieć, w co wierzę. Kiedy mówię O j c z e n a s z, miłość zdaje mi się, tego wymaga ode mnie, bym rozumiała, kto jest ten Ojciec[1])". Dzięki takiemu zgłębieniu treści, słowa odzyskują wyrazistość, jaśnieją w naszym umyśle nowym blaskiem, a wówczas oddziaływują także na wolę i uczucie.

Zdarza się, że nie podobna jest zachować uwagi na znaczenie słów, co zachodzi u osób odmawiających pacierze kościelne w nieznanym dla siebie języku, albo przy wielkim zmęczeniu, lub też wówczas, gdy natchnienie łaski zwraca silnie naszą uwagę na pewien określony przedmiot z zakresu życia nadprzyrodzonego. W tych wypadkach wystarczy, że zachowamy *trzeci, najważniejszy rodzaj skupienia: uwagę na Boga (attentio ad Deum)* zawsze dołączając oczywiście staranie by poprawnie wymawiać słowa. Takie skierowanie uwagi na Boga jest w istocie wzbudzeniem intencji, uświadomieniem sobie obecności Boga, a także celu modlitwy, a więc ostatecznie aktem miłości. Ta prosta uwaga na Boga w modlitwie ustnej, zdolna jest rozniecić w duszy wielką miłość i ściśle złączyć ją z Bogiem.

Uwaga na Boga, skupienie się, powinno wyprzedzać początek modlitwy, jak już była o tym mowa w poprzednich rozważaniach. Przygotowanie się staranne przed modlitwą ustną jak i uwaga podczas niej, są niezbędne, aby mogła wydać te owoce, których się po niej spodziewamy.

Dług chwały.

W jednej z ksiąg Starego Testamentu autor tak opowiada o dziedzictwie, którym Bóg obdarzył człowieka przy stworzeniu: „Bóg stworzył człowieka z ziemi i według obrazu swego uczynił go... i na kształt swój przyodział go mocą. Liczbę dni i czas dał mu i dał mu moc nad tymi rzeczami, które są na ziemi. Położył strach przed nimi nade wszystkim ciałem i zakrólował nad zwierzem i nad ptactwem. Stworzył z niego pomoc jemu podobną i dał im rozum i język i uszy i serce ku myśleniu i nauką rozumu napełnił ich. Stworzył w nich umiejętność ducha, rozumem napełnił serca ich, złe i dobre ukazał im. Przyłożył oko swe do serca ich, aby im okazał wielkość dzieł swoich, aby chwalili święte imię Jego i wielbili cuda Jego, aby ogłaszali wielkie dzieła Jego[2])". Autor z upodobaniem wylicza dary Boga, wśród nich także i język — dar mowy i podkreśla, że człowiek winien *zwrócić Bogu w formie czci i dziękczynienia dobrodziejstwa, które otrzymał.* Jest to ścisły obowiązek, spłata długu.

Otrzymawszy panowanie nad ziemią całą, oraz zrozumienie piękna i wielkości dzieł Bożych, winien oddać Stwórcy *dług chwały* nie tylko we własnym imieniu, ale też *w imieniu całego stworzonego świata*, któremu przoduje. Jeśli chwali Stwórcę wielka symfonia wszechświata, szumy drzew, świst wichrów i szmer wód; chwalić Go może ów prze-

---

[1]) „Droga doskonałości" R. XXIV. [2]) Ekkl. R. XVII, 1-9.

dziwny instrument: głos ludzki, za pomocą którego wypowiada się hołd istoty rozumnej i miłującej. Człowiek otrzymał od Boga duszę rozumną, dzięki której wznosi się wysoko nad świat materialny i potrafi obcować z Bogiem. Otrzymał od Boga ciało, arcydzieło przepiękne i kunsztowne, którym również, przez słowo, śpiew i gest może oddawać cześć Bogu. Za wszystkie dary Bóg pragnie tylko, aby człowiek miłował go „ex toto" z całej swojej istoty, w całkowitości hołdu, w zgodnej, harmonijnej modlitwie duszy i ciała. I tu właśnie, *w tej całkowitości hołdu tkwi podstawowa racja bytu modlitwy ustnej*, zarówno indywidualnej jak zbiorowej.

Modlitwę ustną *zbiorową* zanosi się w imieniu pewnej społeczności, rodziny, narodu, Kościoła. Jak jednostka, tak i zbiorowość winna w publicznym hołdzie wyznawać Boga swoim Panem i wzywać Jego pomocy. To też społeczeństwa, w których zabrakło by modlitwy publicznej, skazane są na zagładę. Wśród modlitw zbiorowych najwyższe miejsce zajmuje liturgiczna modlitwa Kościoła, o której jeszcze będzie mowa osobno.

W modlitwie zbiorowej zewnętrzną podstawę wspólnoty tworzy słowo. Modlitwa zbiorowa z natury swej jest ustna. Zjednoczenie głosów przedstawia niejako wspólną miłość, która modlących się łączy w jedno. Zbawiciel spragniony zjednoczenia swoich wiernych, obiecał modlitwie zbiorowej swoją szczególniejszą obecność, a św. Paweł, jako echo Mistrza, życzył wiernym, aby „jednomyślnie, jednymi usty czcili Boga i Ojca [7])".

Aby należycie rozumieć i cenić modlitwę ustną, trzeba pamiętać o roli, jaką tu pełnią słowa. Mają one zadanie *znaków*. Znak zaś nie oddaje rzeczywistości całkowicie, ale tylko w przybliżeniu. Jeśli słowa modlitwy ustnej podsycają pobożność, spełniły swoją powinność. Jeśli wkładamy w nie całą duszę, spragnioną bliskości Boga, to niewątpliwie zbliżymy się dzięki nim do Boga, a roztargnienia, czy tym bardziej rutyna, nie zdołają nam zaszkodzić. Taka modlitwa, to *umocnienie duszy* w dążeniu do Boga, to jeszcze jedno wsparcie, które Bóg przygotował dla ludzkiej nieudolności. To *kształcenie* duszy na *najpiękniejszych wzorach modlitewnych*, poddanych przez Ducha św. To *oddanie człowieka całego w służbę Bogu*, poprzez pomoc słów. Słowo zaś jest cząstką człowieka i jak cały człowiek, należy do Boga. Jest czymś czcigodnym, bo ujmuje i wyraża to, co w człowieku najcenniejsze: życie duchowe. Jest jakby dalekim odbiciem owego jedynego Słowa, pełnego, wszystko wyrażającego, tchnącego Miłością, Słowa, które „od wieków wypowiada Bóg Ojciec we wiekuistym milczeniu".

---

[7]) Rzym. XV. 6.

W służbie Boga i bliźnich

„Jakom ja was umiłował, i wy miłujcie się społem". Te słowa Chrystusowe, są streszczeniem Jego całej nauki — są duchem Ewangelii, duchem Kościoła. Polecił nam Chrystus miłować się wzajemnie i to na taką modłę, jaką On nas umiłował. Miłość Chrystusa ku nam to czyn i ofiara. Miłość więc nasza ku Niemu, musi się również objawiać czynem i ofiarą. Stąd pozostanie prawdą najgłębszą, że miłość dla Boga objawia się miłością dla bliźnich. Bliźnim bowiem naszym możemy świadczyć miłość czynem, gdyż z nimi żyjemy i obcujemy.

Jeśli patrzymy na życie świętych, zachwyca nas ich heroizm i bohaterstwo, ich wielkoduszność i odwaga, ale najwięcej nas wzrusza i pociąga ich ofiarna miłość w służbie bliźnich — ich miłość w służbie Boga. I najoczywistszym sprawdzianem rzeczywistych wielkości duszy świętych jest cnota miłości. Toteż w dobie dzisiejszej, gdy współczesny człowiek podeptał nie tylko prawo Boże, ale zgwałcił ohydnie prawo ludzkie, gdy krzywdą innych chce sobie zabezpieczyć lepszy byt, gdy nie liczy się z bólem ani łzami innych — ludzie o wielkiej, wszechstronnej miłości i wyrozumieniu dla bliźnich, pociągają nas z siłą wprost magnetyczną. Widzimy w nich bowiem uosobienie prawdziwego człowieczeństwa, prawdziwego wyzwolenia.

12 lipca 1946 roku zasnęła cicho w ubogim klasztorku, w Sosnowcu przy ul. Wiejskiej, Matka Teresa od św. Józefa. Pogrzeb tej zakonnicy mało dotąd znanej, nawet na terenie samego Sosnowca, stał się prawdziwą manifestacją katolicką. Szarymi ulicami przemysłowego miasta, posuwał się pochód raczej procesyjny, aniżeli pogrzebowy. Dzieci w bieli, sztandary białe, długi szereg sióstr w białych płaszczach, 30 z górą księży, J. E. Ks. Bp Częstochowski i wielotysięczny tłum, różnych zapatrywań i przekonań, prowadził na miejsce wiecznego spoczynku cichą i ukrytą zakonnicę. Gdzież przyczyna, tego uznania i entuzjazmu? Czym zasłużyła sobie skromna zakonnica na taki iście królewski pogrzeb? „Umiała zapomnieć o sobie, by pamiętać o innych, umiała zaprzeć siebie i cierpieć by innym życie osładzać" — te słowa ks. Biskupa Czajki, wyrzeczone nad trumną Matki Teresy, tłumaczą nam jej wielkość pozagrobową. I choć czyny jej i poświęcenie nie rzucały się w oczy za życia, bo umiała się jakoś dziwnie ukryć w gronie swoich Sióstr zakonnych — niemniej jednak wyryły się głęboko w sercach i pamięci ludzkiej i zapewniły jej nieśmiertelną pozycję w wielkim dziele miłosierdzia chrześcijańskiego w naszej Ojczyźnie. To też dzisiaj, gdy nawołuje się wszystkich do czynu społecznego, Kościół katolicki w Polsce z prawdziwą dumą może wskazać swym szermierzom świetlaną postać Matki Teresy Kierocińskiej, stojącą obok takich ludzi poświęcenia, jak: Brat Albert Chmielowski, Wanda Malczewska, Matka Siedliska i inni.

Za głosem Bożym.

Matka Teresa od św. Józefa była współzałożycielką czynnej gałęzi Karmelu, Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Użył jej Bóg jako narzędzia do zapoczą-

kowania tej nowej rodziny zakonnej w Kościele świętym.

Zdolna, bystra panienka, urodzona w Wieluniu 14 czerwca 1885 r. marzyła początkowo o zamknięciu się w Klasztorze SS. Karmelitanek Bosych. Przygotowywała się do tego życia nie tylko przez szczerą pobożność i czystość życia, ale przez gruntowne wykształcenie i pogłębianie kultury duchowej. Wola Boża była jednak inna. Niespodziewane trudności zamknęły jej drogę do Karmelu klauzurowego. Spowiednik uznał ją za odpowiednią do zapoczątkowania Zgromadzenia czynnego Sióstr Karmelitanek, którego potrzebę w naszej Ojczyźnie odczuwało się coraz to więcej. Kto zna na jakie trudności napotyka dzieło utworzenia nowego zgromadzenia zakonnego, łatwo zrozumie, jak wielką odwagę okazała młoda jeszcze wówczas Janina Kierocińska, później nazwana M. Teresą. Przyglądając się z bliska jej charakterowi, trzeba jednak przyznać, że nie tylko łaska, ale i natura dysponowała ją do tego dzieła. Miała bowiem charakter stanowczy i mocny. Jeśli uznała coś za dobre i znalazła potwierdzenie tego u kierownika swej duszy — nie cofała się nigdy.

Największe przeszkody i trudności nie potrafiły jej osłabić ani zniechęcić w dążeniu do raz wytkniętego celu. Ta moc i siła charakteru, a równocześnie dziecięca ufność w Bogu, pozwoliła jej rozpoczęte dzieło doprowadzić do końca i wytrwać na stanowisku naznaczonym jej przez posłuszeństwo, mimo naprawdę wielkich trudności i cierpień. „Zgromadzenie urodziło się pod znakiem Krzyża, ubóstwa i cierpienia" — pisał wiele lat później jego Założyciel, O. Anzelm Karmelita Bosy. I tak było rzeczywiście. Krzyż nie tylko towarzyszył młodemu Zgromadzeniu, ale i życiu jego głównej Współzałożycielki. Ponieważ jednak jest prawdą, że Krzyż tylko słabych łamie, a mocnych prowadzi do heroizmu — więc Krzyż Matkę Teresę doprowadził do świętości, a Zgromadzenie do utrwalenia i rozwoju.

Nowa latorośl Karmelu.

Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek powstało na skutek życzenia Ks. Biskupa Krynickiego, Wizytatora Zakonów w Polsce. Widział on potrzebę Zgromadzenia czynnych Karmelitanek, w którym by mogły pracować dusze pragnące żyć duchem karmelitańskim a nie mające danych, by zostać Karmelitankami Bosymi. Życzeniem Wizytatora Apostolskiego przejął się całym sercem ówczesny Prowincjał OO. Karmelitów Bosych, O. Anzelm od św. Andrzeja z Korsynu, obecnie Definitor Generalny Zakonu OO. Karmelitów Bosych. Zgromadził on dusze, które od dawna pragnęły życia zakonnego w duchu Karmelu i dał początek Zgromadzeniu, oblekając kilka pierwszych Sióstr w klasztorze Karmelitanek Bosych w Krakowie na Wesołej dnia 31 grudnia 1921 r.

Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek Dziec. Jezus jest gałęzią Zakonu karmelitańskiego i uczestniczy we wszystkich jego przywilejach i łaskach; żyje i rozwija się jego duchem. Powołaniem tego Zgromadzenia jest miłość Boga i bliźniego w duchu św. Teresy od Dzieciątka Jezus, przez modlitwę i uczynki zewnętrzne. Stosownie więc do upomnienia Zbawiciela: „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili mnieście uczynili" — mają Siostry roznosić po ziemi ten ogień miłości Bożej, który Jezus przyniósł na ziemię, szcze-

gólnie przez uczynki miłosierne. Hasłem Zgromadzenia są słowa św. Teresy od Dziec. Jezus „Niebem moim będzie czynić dobrze na ziemi". Duch zaś, który ma Zgromadzenie ożywić — to duch żarliwości o chwałę Bożą i zbawienie dusz, podtrzymywany modlitwą i ofiarą z siebie samych.

Z tych źródeł czerpią Siostry siły do apostolstwa zewnętrznego, przez suknię szkaplerza św. i opiekę Matki Najświętszej, którą szczególną czcią i miłością otaczają. Za Patronkę Zgromadzenia mają św. Teresę od Dziec. Jezus, naśladując jej miłość i prostotę. Cel Zgromadzenia jest podwójny: Pierwszy to uświęcenie własne przez wierne zachowanie trzech ślubów, drugi — dobro bliźnich, szczególnie przez opiekę, wychowanie i kształcenie według zasad Chrystusowych dziewcząt — zwłaszcza ubogich. Zgodnie z tym Siostry powinny utrzymywać: domy wychowawcze dla dziewcząt ubogich, sierot lub opuszczonych przez rodziców, szkoły publiczne lub prywatne, pracownie dla dorosłych dziewcząt, żłóbki niemowląt, świetlice dla dziewcząt dorastających, a w razie koniecznej potrzeby i szpitale. Mogą również przygotowywać dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św. i dawać lekcje katechizmu.

Założenia więc Zgromadzenia były szerokie i piękne. Wprowadzić jednak wszystko w czyn, uformować, ustabilizować życie zakonne, a następnie jego prace zewnętrzne, wymagało wiele usilnej pracy i niezmierzonych trudów. Trudności bowiem — jak to zawsze bywa przy dziełach Bożych — zaczęły się piętrzyć od początku. Zgromadzenie miało przygotowany dom w Sosnowcu, w porozumieniu z Ks. Raczyńskim, wybitnym działaczem społecznym, który w Siostrach chciał mieć pomocnice do szerokiej działalności charytatywno - społecznej, wkrótce jednak okazało się, że praca jest nadmierna, wymagająca sił kwalifikowanych, Siostry zaś nie są do tego jeszcze przygotowane.

Ustawiczne oddawanie się pracy zewnętrznej nie zostawiało czasu na formację wewnętrzną. Widząc, że w takim trybie życia Zgromadzenie nie tylko nie pogłębi ducha zakonnego, ale może go wogóle utracić — Matka Teresa zdecydowała się na czyn, który ją wiele kosztował, ale niemniej okazał się zbawiennym dla ducha Zgromadzenia: ograniczyła na razie pracę zewnętrzną Sióstr, by mogły się wyrobić wewnętrznie i ugruntować w życiu zakonnym. Nabyła w tym celu mały domek przy ul. Wiejskiej 25 w Sosnowcu, który stał się odtąd kolebką i domem macierzystym Zgromadzenia. Decyzja pozostania w Sosnowcu z młodym Zgromadzeniem, była ze strony Matki Teresy czynem niemałej odwagi. Kto bowiem zna ówczesne nastroje, zwłaszcza na przedmieściach tego miasta, może się łatwo domyślić, na jakie przeszkody natrafiły tam Siostry. Napady nocne, kradzieże, szykany na każdym kroku, wreszcie zorganizowana akcja ludzi złej woli chciała koniecznie Siostry wydalić z terenu miasta.

Wskutek tych trudności wiele Sióstr traciło odwagę. Matka Teresa jednak nie dała się zastraszyć przeciwnościami. Wierzyła, że jeżeli ma się pracować dla Boga, dla dobra dusz ludzkich — trzeba przede wszystkim pracować tam, gdzie tej pracy najwięcej potrzeba. A Sosnowiec tak bardzo potrzebował miłosiernego czynu pracy katolickiej.

Powoli, nawet najbardziej nie-

przyjazne osoby zaczęły się zmieniać. Ubóstwo i nędza małego domku na Wiejskiej, a równocześnie niesłychana wprost ofiarność i poświęcenie się Sióstr, rozwiały u wrogów Zgromadzenia mit o bogactwie i wygodach zakonów. Ludzie, którzy dotąd niechętnie patrzyli na Siostry, teraz widząc, że żyją one jeszcze w gorszych warunkach aniżeli oni, ale równocześnie dzielą się ze wszystkim, co mają, z jeszcze biedniejszymi, i wszystkie niedostatki znoszą z pogodnym uśmiechem — zaczynali nabierać zaufania do nowego Zgromadzenia. Błogosławiony wpływ cichej działalności Sióstr wśród dzieci, wśród rodzin zwaśnicnych, wśród opuszczonych dziewcząt dał się wkrótce zauważyć. Zgromadzeniem interesowano się coraz to szerzej. W jednym z krakowskich czasopism ukazał się artykuł, w którym opisane są wrażenia jednego z pisarzy po odwiedzinach w tym zakładzie: „Błotnistymi, brukowanymi nierówno ulicami, biegnącymi pośród szarych domów, szedłem ze stacji ku ulicy Wiejskiej; wokół szarość, niewesoły nastrój górniczo-przemysłowego miasta. Domy w miarę jak oddalają się od stacji coraz uboższe, pokrzykiwania woźniców przewożących wielkie fury naładowane węglem, dzieci nędznie ubrane, blade staruszki, wszystko to jakoś przykro działało na mnie. Pragnąłem jak najprędzej dojść do celu. Mała dziewczynka podprowadziła mnie do klasztoru pod Nr 25. Ujrzałem niewielki, schludny dom. Schludna słoneczna kapliczka, za nią mały półmroczny chórek, gdzie zakonnice odprawiają swoje ćwiczenia duchowne. Inne pokoje to sale szkolne, ochronka, pracownia. Ze zdumieniem ujrzałem, że Siostry cały dom poświęciły dla dzieci, a dla siebie urządziły sobie ubożuchne celki na strychu, refektarz zaś i kuchnię mają w suterenach. Łzy cisnęły mi się do oczu, gdym patrzył na to święte ubóstwo i poświęcenie. O jakże chciałbym przyprowadzić tutaj wszystkich, którzy głoszą, że w klasztorach żyją same samoluby, szukające własnej wygody i dostatku".

Drogą Krzyża.

Życie Matki Teresy rozwijało się pod znakiem Krzyża. Oprócz ciężkich przejść wewnętrznych może najcięższym cierpieniem tej szlachetnej duszy była troska o istnienie i rozwój Zgromadzenia. Dopóki O. Anzelm, Założyciel Zgromadzenia, przebywał w Polsce, miała światłe i wprawne kierownictwo, co do wszystkich spraw młodego organizmu zakonnego. Mogła zasięgać jego rady we wszystkich wątpliwościach, otrzymywać wskazówki, jak ma się urzeczywistniać wielka myśl Boża w duszach Sióstr i w zewnętrznej działalności młodej latorośli Karmelu. Wkrótce jednak zawezwano go do Rzymu, wkładając nań ciężkie obowiązki zakonne, które go tam zatrzymały przez z górą 20 lat. Matka Teresa i jej Siostry zostały niemal same. „Byłyśmy wtedy zupełnie opuszczone i pozostawione sobie samym" — opowiadała o tych najcięższych chwilach jakie przeżyła. „Że nam Bóg dał przetrwać te ciężkie chwile i Zgromadzenie nie upadło było to jedno z Jego największych zmiłowań nad nami".

O. Anzelm zdawał sobie sprawę z trudności młodego Zgromadzenia, obarczony jednak nadmierną pracą dla ogólnego dobra całego Zakonu, musiał poprzestawać tylko na wskazówkach listowych. Sam tak pisze o tym okresie istnienia Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dziec. Je-

zus: „Trzeba było nadziemskiej siły duszy, by się nie cofnąć, nie załamać, złaszcza, że Zgromadzenie nie miało przyjaciół, ani domu własnego, ani środków do życia — napotykało natomiast na nieprzezwyciężone trudności samokształcenia się wewnętrznego, od ludzi, od własnego niedoświadczenia, od niepewności samych Sióstr. Byłem świadkiem tych przeżyć bolesnych. Zgromadzenie zrodziło się z ubóstwa i cierpienia, a siłą ożywczą był duch ofiary i zaparcia".

Matka Teresa była wówczas w tym cięższym położeniu, że nie tylko sama musiała się borykać z trudnościami, ale i ukrywać je przed Siostrami, ból swój zachować w duszy, by nie powiększać zniechęcenia i małoduszności. Nieugięta wytrwałość i niezachwiana ufność w Bogu pozwoliła jej wszystko przetrwać i podtrzymać Siostry na duchu.

Mały domek przybierał powoli formy domu zakonnego. Konstytucje, opracowane przez O. Anzelma, zostały zatwierdzone przez miejscowego Biskupa. W ubożuchnej kapliczce zamieszkał Pan Jezus. Coraz liczniejsze powołania dawały rękojmię, że dzieło Boże nie upadnie. A kiedy do zgromadzenia przysłał Pan Bóg nieprzeciętną i na modłę świętych zakrojoną duszę, S. Gabrielę od Matki Boskiej Bolesnej — młoda gałąź Karmelu zaczęła się na dobre utrwalać. To też Matka Teresa duszę tę uważała za opatrznościową dla Zgromadzenia i do końca życia dziękowała za nią Bogu. Dziś kiedy patrzymy z dalszej perspektywy na formowanie się nowego Zgromadzenia, możemy powiedzieć, że Matka Teresa była dlań mózgiem a S. Gabriela sercem.

Wrażenie, jakie wywarła Matka Teresa na tę młodą, tak opatrznościową dla Zgromadzenia duszę, sama opisuje w tych słowach. „Gdy przyjechałam do Sosnowca, zakonnice patrzyły na mnie, jak na mnie działa ich dach bardzo ubogi i mizerny. Co dalej było, opowiadać nie będę — ale odtąd dopiero, gdy przyszła przełożona, osoba bardzo miła. Po dosyć długiej rozmowie pytam się Jej, czy mnie przyjmie taką, jaką jestem, ubogą na zewnątrz a wewnątrz do tego chorą. A ona przyciska mnie do serca i mówi: „Przyjmę ale tylko drugą świętą Terenię". Nie panowałam już dłużej nad sobą — płakałam... po opowiedzeniu wszystkiego, po wyjaśnieniu ich reguły i zajęć, po przypatrzeniu się wszystkiemu — spodobało mi się. Przylgnęłam duchem i sercem. Wszystko podobnie tu robię, jak u Karmelitanek Bosych, z wyjątkiem tego, że są czynne i spotykają się w swych zajęciach z ludźmi. To, że teraz do kościoła chodzą, to tylko do czasu, aż przeprowadzą się do swojego domu, podobno wymarzonego dla nich. Po rozmowie dwugodzinnej z przełożoną, przyszły inne i rozmawiałyśmy razem, bardzo miło i wesoło. O 12-ej podano obiad. Po raz pierwszy jadłam w glinianych miseczkach i potrawy postne. Chciały koniecznie bym wracała późniejszym pociągiem, ale nic nie wymyśliłyśmy — trzeba było opuścić przystań moją kochaną. Na pożegnanie przyszła Przełożona, żegnając się pobłogosławiła mnie: „Bądź drugą Terenią, przybywaj".

Wszystkich wrażeń i uczuć, jakie w duszy się mieściły i mieszczą, język, a zatem i pióro opowiedzieć nie może, pozostanie to w niej na ciąg życia mego".

W myśl zasady: „Przez Krzyż do zwycięstwa" — Matka Teresa i jej Zgromadzenie dochodzili powoli do

spokojnej przystani unormowanego i ustabilizowanego życia zakonnego. Radość jej była naprawdę wielka. Gdy po przebytych cierpieniach zgromadzenie otrzymało dekret erekcyjny, gdy ustawy zostały zatwierdzone przez władzę kościelną, nowicjat i śluby stanęły na fundamencie prawa kanonicznego, Matka Teresa, jej wierna pomocnica S. Gabriela, i inne Siostry nie mogły prawie opanować nadmiaru szczęścia. Tak nas Pan Jezus nagrodził, iż myślałam, że oszaleję z radości, to samo i Siostry odczuwają" — pisała w jednym ze swoich listów.

Dla dobra innych.

Ludzie dowiadują się zwykle o wartości człowieka dopiero po jego śmierci. Tak było i z Matką Teresą. Ledwie zamknęła powieki, wieść o jej śmierci rozbiegła się po całym Sosnowcu i szeroko po Polsce. Zewsząd przychodziły głosy uznania dla jej pracy i dla jej dzieła. Cicha, nieznana zakonnica stanęła przed oczami społeczeństwa w aureoli dostojeństwa i piękna moralnego swego życia. „Stoimy w obliczu śmierci cichej zakonnicy, — mówił o niej jeden z Ojców Karmelitów bosych w mowie żałobnej — całe jej życie wypalało się w pracy nad zbawieniem dusz, ratowaniem biednych i opuszczonych. Nie przyszedłem tu po to, by ją gloryfikować, bo cały Sosnowiec wie, ile w ciągu swego 25-letniego pobytu na tym terenie zdziałała dobrego. Widziano ją nieraz przebiegającą Sosnowiec z zawiniątkiem w ręku, spieszącą z pomocą materialną i słowem pociechy do biednych i opuszczonych. Nie było biednego, z którym by się nie podzieliła choć ostatnim kawałkiem chleba, a jeśli go brakło, dzieliła się swym sercem. Jeśli ktoś uważa, że za murami klasztoru kryją się bogactwa, niech idzie na ulicę Wiejską, a zobaczy jak żyła Matka Teresa i jak żyją jej Siostry. Za dobre, prawdziwie macierzyńskie serce, za ofiarną miłość kochali ją wszyscy, a dowodem tego te tłumy zebrane tutaj przy jej trumnie, te sieroty płaczące, którym była matką, ten liliowy wieniec niewinnych serc jej córek, otaczających jej trumnę, w cichym smutku i żalu".

Tę charakterystykę ogólną zmarłej Matki Teresy uzupełnił w podniosłej mowie żałobnej w kościele Wniebowzięcia Matki Boskiej w Sosnowcu Ks. Bruno Magott, Rektor Seminarium Częstochowskiego w Krakowie: „Śp. Matka Teresa była dla nas przykładem miłości bliźniego. Ta miłość jej doszła do pełni zwłaszcza w czasie wojny. Roztoczyła opiekę nad opuszczonymi dziećmi, nie bacząc na brak funduszów, brak pomieszczenia, wyżywienia. Ponieważ nigdy nikomu nie odmawiała pomocy, więc i tym razem otwarła ramiona z miłością dla dzieci, i przyjmowała wszystkie: maleńkie i starsze, chore i bezdomne. W miarę jak wzrastała pożoga wojenna, do furty pukało coraz więcej opuszczonych dzieci. Trzeba było po prostu otworzyć zakład, urządzić salki, wystarać się o łóżka, pościel i bieliznę. Wiele rzeczy robiło się pod groźbą i obawą aresztowania. Liczba dzieci stale wzrastała, a zasobów materialnych znikąd nie było; nieraz zdawało się, że już nie będzie co dać dzieciom na śniadanie... lecz Opatrzność Boża w widoczny sposób przychodziła z pomocą. Ile miłości wkładała w to dzieło Matka Teresa ten tylko może coś o tym powiedzieć, kto tego doświadczył, lub widział jej codzienny trud. Od wczesnego ranka do póź-

nej nocy sama wszystkiego doglądała, sama maleństwa opatrywała, leczyła, pieściła, jak najlepsza matka. Dać ubogim część majątku, nawet rozległe włości, to jeszcze nie to, co dać siebie i służyć biednym z miłością i oddaniem.

Przez czyny miłosierdzia Matka Teresa nieraz narażała się na sarkanie, a w czasie wojny niejednokrotnie na wielkie niebezpieczeństwo więzienia, nawet śmierci. Ileż razy trzeba było biegać za każdym kawałkiem chleba, czy ubraniem dla osób, pracujących w konspiracji dla dobra Ojczyzny. Nieraz było ich sto i więcej. Niejeden by ręce opuścił i zwątpił. Tego nie uczyniła Matka Teresa. Przeciwnie, wszystkich krzepiła na duchu, uśmiech nie schodził z jej twarzy. Była pełna wiary, że jeżeli Bóg przysłał jej kogoś po pomoc, to pomoc ta nadejdzie. I rzeczywiście, Bóg błogosławił jej dziełu i cudownie wprost opiekował się Zgromadzeniem w najcięższych chwilach wojny. Zawołaniem zmarłej było hasło „Bóg i Ojczyzna". Rozwijała w sercach córek swoich miłość tych ideałów, świecąc sama przykładem. Nic więc dziwnego, że dzisiaj wyległo całe miasto, by po raz ostatni pożegnać tę, której cechą było czynić dobrze na ziemi".

Uroczystości pogrzebowe zakończył głębokim kazaniem o wartości życia i śmierci J. E. Ks. Biskup Częstochowski Dr Stanisław Czajka. Z głębokim uznaniem mówił o życiu i działalności Matki Teresy i o pracy Zgromadzenia SS. Karmelitanek Dziec. Jezus. Zakończył słowami pełnymi namaszczenia: „Ta, której zwłoki czcigodne mamy przed sobą, winna być w rzędzie kandydatek do beatyfikacji. Należy bowiem do tych dusz, które walcząc o przyjście Królestwa Chrystusowego, nie ugięły się przed trudami i cierpieniami. Mieszkańcy Sosnowca, tak licznie zebrani tutaj w oddaniu jej ostatniej przysługi — dają dowód swego szacunku i czci, jaka ich serca wypełniła względem Założycielki Zgromadzenia SS. Karmelitanek Dziec. Jezus. Dzieło jej trwać będzie, bo było budowane cierpieniem i ofiarną miłością. Służyła wiernie Bogu i ludziom, przeto nagroda jej wielka być musi przed Bogiem".

Zgromadzenie w 25-leciu swego istnienia.

Śmierć Matki Teresy od św. Józefa dziwnym trafem zbiegła się z dwudziestopięcioletnią rocznicą istnienia Zgromadzenia. 25 lat pracy, to na życie jednego człowieka wielki odłamek czasu, na scharakteryzowanie jednak działalności i rozwoju Zgromadzenia zakonnego — jest to okres zbyt krótki. Niemniej jednak patrząc na rozwój życia wewnętrznego tego młodego Zgromadzenia i na jego działalność zewnętrzną — możemy dziś stwierdzić po ćwierć wiekowym jego istnieniu, że było ono z myśli Bożej poczęte i leżało w zamierzeniach Bożych. Znajdują w nim gruntowne wyrobienie zakonne dusze, pragnące rzeczywistego uświęcenia, wedle niedoścignionych wzorów duchowych Mistrzów Karmelu: św. Jana od Krzyża i św. Teresy od Jezusa. Z pełności życia Bożego w duszach zakonnic wypływa czyn zewnętrzny: pracy nad dziećmi i młodzieżą.

Można więc powiedzieć, po objęciu całokształtu życia i działalności śp. Matki Teresy, że dzieło zlecone jej przez Opatrzność Bożą doprowadziła do końca. I można żywić nadzieję, że Zgromadzenie jej, zasilane duchowym życiem wielkiej rodziny

karmelitańskiej, będzie się nadal rozwijało i pracowało owocnie, zarówno nad uświęceniem wewnętrznym członków Zgromadzenia, jak i dla dobra całego społeczeństwa. Tak oceniają dzieło Matki Teresy ludzie, którzy ją znali i znają jej Zgromadzenie. Oto jak pisało jedno z katolickich naszych pism po jej śmierci. „12 lipca zmarła w Sosnowcu Matka Teresa Kierocińska, założycielka Sióstr Karmelitanek Dziec. Jezus (czynnych).

Ze względu na walory umysłowe, wyrobienie wewnętrzne i szeroką pracę społeczną, zmarła Matka Teresa należała do najwybitniejszych ludzi katolickiego czynu w naszej Ojczyźnie. Poznawszy stosunki na terenie Sosnowca i całego Zagłębia Dąbrowskiego, widziała, że trzeba tam pracy zorganizowanej wielu rąk i serc ofiarnych, pracy zwłaszcza nad dziećmi i opuszczonymi i zaniedbanymi. Idąc za natchnieniem Bożym i głosem posłuszeństwa złożyła w roku 1921 z kilku towarzyszkami śluby zakonne i zabrała się do pracy. Nie patrzyła na środki materialne, zaczęła swe dzieło mówiąc po ludzku z niczego. Nie miała ani domu ani pieniędzy na otwarcie zakładu, ale nieugiętą stanowczość, ofiarność i poświęcenie. Gorąca miłość dla opuszczonej dziatwy dopomogła Matce Teresie przezwyciężyć wszystkie trudności. W małym domku przy ul. Wiejskiej stworzyła ośrodek pracy charytatywnej, katechizacji dzieci, ochronkę dla sierót, pracownię dla dziewcząt.

Błogosławione skutki tej pracy dały się wkrótce poznać po zmianie, jaka nastąpiła w sercach młodzieży i w umysłach starszych ludzi, często uprzedzonych do Kościoła.

Dzisiaj po 25 latach pracy i wysiłku tej bohaterskiej duszy, Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek Dziec. Jezus zwarcie zorganizowane, oparte na mocnych podstawach prawa kościelnego i w różnych już stronach Polski pracuje ofiarnie na niwie społecznej i religijnej.

Dokonała Matka Teresa czynu wielkiego nikłymi środkami, bo miała serce wielkie, pełne dobroci i współczucia dla cierpiących. Siłę do ustawicznej ofiary czerpała z głębokiego życia wewnętrznego, modlitwy i miłości.

To też jest doskonałym wzorem, jak należy wzniecić ducha Ewangelii w naszych czasach i jak pełnić służbę społeczną ofiarnym i odważnym czynem".

Henryk Płomieńczyk

Stulecie La Salette
1846 — 1946

W narodzie polskim, tak bardzo przywiązanym do Najśw. Marii Panny i tak ściśle związanym z Jej kultem poprzez wieki, nie powinna przejść bez echa setna rocznica objawień w La Salette.

Dlatego poświęcimy tym objawieniom wzmiankę okolicznościową na łamach naszego pisma.

* * *

La Salette leży u podnóża góry Planeau, w cichym i zapadłym zakątku alpejskim, położonym na południowy wschód od miasta Grenoble, we Francji. La Salette było nieznaną wioszczyną, jak się to mówi — zabitą deskami, odciętą od szerokiego świata aż po dzień 19 września 1846 r.

Dopiero sto lat temu cały świat dowiedział się o istnieniu La Salette.

Najpierw po Francji, a potem zwolna po całym świecie rozeszła się wieść o objawieniach Najśw. Marii Panny w La Salette, która tam rozmawiała z ubogimi dziećmi. Maksyminem Girand i Melanią Mathien, pochodzącymi z małego miasteczka Corps, leżącego na południowy zachód od La Salette.

Chłopiec był w służbie u Piotra Selme, a dziewczynka służyła u Jana Chrzciciela Pra.

Tym to dzieciom, choć biednym, ale wyróżnionym przez Opatrzność Bożą, ukazała się zapłakana „Piękna Pani" w długiej, białej sukni. Na ramionach miała prostą chustkę wieśniaczą, ozdobioną różami i złotym łańcuchem. Na piersiach krucyfiks z młotkiem i obcęgami. Na głowie czepek wiejski, obrzeżony wieńkiem róż.

Niezapomniane pozostaną słowa, wypowiedziane przez płaczącą Madonnę do ubogich dzieci w dniu 19 września 1846 roku...

„Jeśli mój lud nie zechce się poddać, będę musiała puścić rękę Mojego Syna. Jest ona tak mocna i tak ciężka, że nie będę mogła dłużej jej powstrzymać. Jak dawno już cierpię dla was. Chcąc, by Mój Syn was nie obudził, muszę Go nieustannie o to prosić. A wy sobie nic z tego nie robicie..."

Władze kościelne poczęły badać skrupulatnie całe zjawienie się Matki Bożej i wszystkie wypowiedzi, powtórzone przez proste dzieci, które — o dziwo — nie mogły się należycie wyuczyć pacierza i z wielkim trudem opanowały przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej, a jednak zapamiętały sobie z nieprawdopodobną łatwością to, co słyszały z ust „Pięknej Pani" i powtarzały słowo w słowo setki razy to, co przechodziło ich inteligencję i przygotowanie.

Dlatego też — po upływie pięciu lat — biskup miejscowy wydał 19 września 1851 roku orędzie, w którym stwierdza uroczyście:

„Zjawienie się Matki Bożej dwojgu pastuszkom w dniu 19 września 1846 roku w parafii La Salette ma wszystkie znamiona prawdy i wierni mogą je uważać za pewne. Pozwalamy o nim głosić kazania i wyciągać zeń praktyczne i moralne zastosowania..."

Papieże również wypowiedzieli się na temat Zjawienia się Matki Bożej w La Salette.

Papież Leon XIII nadał kościołowi, wybudowanemu na Górze Saletyńskiej, tytuł bazyliki i zezwolił na uroczystą koronację figury Matki Boskiej Saletyńskiej.

Papież Pius XI wyznaczył Matkę Boską Saletyńską jako główną Patronkę zgromadzenia zakonnego księży Saletynów i nadał odpusty odmawiającym modlitwy do Matki Boskiej Saletyńskiej. Np. nadał odpust 300 dni za odmówienie następującej modlitewki:

„Matko Boska Saletyńska, Pojednanie grzesznych, módl się nieustannie za nami, którzy się do Ciebie uciekamy..."

* * *

Setną rocznicę zjawienia się Matki Bożej w La Salette uczcili katolicy francuscy bardzo uroczyście wspaniałym Kongresem Mariańskim, odbytym w dniach 2—8 września br. pod hasłem: „Na Górę Saletyńską!"

Również i Ojciec św. Pius XII uczestniczył duchem w tej wspaniałej manifestacji maryjnej i wystosował z tej okazji list do katolików francuskich, w którym czytamy m. in. następujące słowa:

„Obchodzimy setną rocznicę wielkiego zdarzenia z dnia 19 września 1846 roku, kiedy to Matka Boża Płacząca napomniała swój lud, by zwrócił się do Jej Boskiego Syna i wynagrodził zniewagi, wyrządzone Majestatowi Przedwiecznemu. **Oby uroczystość setnej rocznicy przyczyniła się do odnowienia ducha gorliwości!"...**

* * *

Polscy misjonarze saletyńscy mają szereg placówek duszpasterskich w Argentynie, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych.

W Polsce odbudowują Księża Saletyni swe placówki w Dębowcu koło Jasła, w Rzeszowie i w miejscowości Hurko koło Przemyśla.

Szczęść im Panie Boże!

Bibliografia

Ks. Henryk Weryński „O nowe ognie Ducha św.“, Kraków 1946, stron 62, Wydawnictwo „Głosu Karmelu“.

Jako XXI tomik „Bibliotheca Carmelitana“ ukazała się powyższa praca ks. prof. Weryńskiego, wywodząca się z przekonania (zaznaczonego w słowie wstępnym), że na **nowe czasy, w które wkraczamy, trzeba nam nowych sił, wielkich mocy, ale przede wszystkim: światła i mocy Ducha Świętego.**

Na całość tej publikacji składają się następujące rozdziały (poza wstępem): bardzo wnikliwe rozważanie znakomitego autora „Istoty katolicyzmu“, prof. Karola Adama, p. t. „Moc z wysoka“, — encyklika Ojca św. Leona XIII o Duchu Świętym w przekładzie Karm. B., — życiorys „apostołki Ducha Świętego“, świątobliwej karmelitanki arabskiej, S. Marii od Jezusa Ukrzyżowanego, której setną rocznicę urodzin obchodziliśmy w r. 1946, — wreszcie bardzo staranny wybór modlitw do Ducha Świętego.

Przytoczymy tu jeden z oddźwięków powyższej publikacji. O. Prof. Dr Zygmunt **Ogarek** O. P. (Poznań) pisze j.n.: „zaraz przeczytałem uważnie i mogę szczerze powiedzieć: oto rzecz **bardzo na czasie:** przypomnieć światu wierzących katolików prawdę zasadniczą życia Kościoła św. i doskonałości chrześcijańskiej — przez „Moc z wysoka“ i budzenie energii duszy dla służby prawdziwej Bogu i za łaską Jego...“

Dominik Aniśko „Jak żyć“, Jerozolima 1945, stron 56.

Książeczka powyższa ukazała się nakładem ruchliwego wydawnictwa „Książnica-Marianum“, pracującego przed wojną w Wilnie, a obecnie w Jerozolimie.

Autor, mało u nas znany, Dominik Aniśko, poucza nas jak żyć. Naukę tę rozsnuwa poprzez zagadnienia: duchowego odrodzenia człowieka, życia cnotliwego, miłości społecznej, cierpienia i miłości Boga, jako korony całego życia chrześcijańskiego.

Stare prawdy podane w formie przystępnej, ożywione duchem apostolskim.

Strona typograficzna nienaganna.

Na wstępie podobizna obrazu Matki Bożej Zwycięskiej z Kozielska.

Zamówienie należy kierować pod adresem: The Marianum Institute — Jerusalem — Palestine — P. O. B. 1416.

W.

Treść zeszytu XII (grudzień 1946): Sens Betlejemu. — Rorate Caeli... — Kolęda. — Pomnażać miłość Bożą. — Modlitwa ustna. — W służbie Boga i bliźnich. — Stulecie La Salette. — Bibliografia.

Za pozwoleniem władz duchownych i zakonnych.

Zgodnie z dekretem Urbana VIII.

Przedruk zastrzeżony. Nie zwraca się rękopisów nadesłanych.

„GŁOS KARMELU“ — miesięcznik Zakonu OO. Karmelitów Bosych, poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego.

Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji:

Telefon 554-48. Kraków — Rakowicka 18. Nr Konta PKO. IV-842.

Prenumerata miesięczna wraz z dodatkiem 30 zł., kwartalnie 90 zł.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie. M—17102


ZELO ZELATUS SUM PRO DOMINO DEO EXERCITUUM